

BLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobięcy

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 25 CZERWCA 1927 ROKU

NR 26

TREŚĆ NUMERU: Słowacki w Warszawie. Twórca „świętych wojen”—*Leon Pomirowski*. Zmaganie się słowa z duchem Słowackiego—*Dr. Herminja Naglerowa*. Szlakiem tęsknoty — *Zofja Miszeńska*. Wiersz: „Przymierze” — *Felicja Kruszeńska*. Motyw księżycy (nowela) c. d. — *Herminja Naglerowa (J-a Stycz)*. Plantator z Malaty (c. d.) — *J. Conrad*. Demokratyzacja sportu — *W-na*. Kobieta w świecie i w domu — *H. S.* Odpowiedzi od redakcji. O kinie—*Zygmunt Knothé*. Rola sztuki w życiu—*Marja Zawadzka*. Kabaczki—*Stan. Schönfeld*. Witaminy — *J. S.* Drobne oszczędności w gospodarstwie domowym—*I. Cha...* Podwieczorok—*Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Do naszych czytelniczek. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Na plaży—*Well*. Co modne i co stosowne podczas noszenia żałoby. Poduszka owalna ozdobiona motywem koronkowym. Dodatek powieściowy: „Rąbek zasłony”—*Colette Yver*, autoryzowany przekład *S. Ł. Arkusz wzorów*.

Słowacki



w Warszawie

Oto nadeszły dla Warszawy wielkie dni, kiedy danem jej jest gościć w swych murach prochy Słowackiego!

To wielkie serce, spopielałe w ognjach najczystszej miłości, zapłonie znów między nami, jak niegdyś, za młodu, gdy na Placu Zamkowym wystrzelało w niebo kolumną marzenia o wielkości i bohaterstwie Kordjana, gdy w podziemiach Fary snuło wizję spisku koronacyjnego.

Tu, na majdanie Placu Saskiego, poczęła się legenda anhelicznej ofiary, wiodąca długie pokolenia, jak biała postać Szamana, przez sybirskie rozłogi ziemi ucisku.

Tu, na ołtarzu Ojczyzny, złożyłeś, wieszczu młody, sny pacholące o pośmiertnej sławie, jak votum szczerozłote przed drogą w nieskończoność wygnania.

Odszedłeś stąd ongi, jak tułacz bezimienny z domu ucisku, powracasz w majestacie, jak triumfator do kraju wolności.

Oto zabrzmiały wszystkie dzwony!

Zatrzęsa się ziemia!

Słyszysz stapania milionów?

To Naród cały na barkach własnych, rozkuty w jutrzence wolności, wnosi do stolicy prochy Bohatera, poległego w niekrwawej walce o wolność Ducha. Pielgrzyma, zmarłego w świętym trudzie tworzenia, Zdobywcy, co kwapił się rozdać skarby łaknącym w królewskiej swej szczodrośliwości.

Otośmy trudem jego dziś bogaci, walką — wskrzeszeni, tęsknotą — nieśmiertelni.

Pod błękitnym niebem Ojczyzny wyzwolonej uczcijmy w Poecie Księcia duchów Niezłomnego!

LEON POMIROWSKI

TWÓRCA „ŚWIĘTYCH WOJEN“

Od kilku lat Polska żegna i wita bez przerwy swoich wielkich patronów.

Spoczęli w ziemi, którzy do ostatniej niemal chwili dnia dzisiejszego płużyli kulturę; z martwych powstałi z tej ziemi, którzy ją w snach oglądali, a chcieli ujrzeć żywą. Ziemią, w której się grzebie, lub z której wygrzebuje wielkich twórców, — jest narodowa świadomość. Jej to głębie się poruszają na przyjęcie, lub oddanie świętych szczątków. Uroczystości takie na chwilę bodaj elektryzują — pustką komunałów balsamowaną — pamięć. Rozrywają się fałszywe związki, z dnia wczorajszej niewoli wyrosłe, drzewo dawnej twórczości nową narasta korą — i nowym dojrzewa owocem.

Dziś czcimy powrót Juliusza Słowackiego. Z dziwnym uczuciem idziemy Mu naprzeciw. Wraca, bowiem, nie tylko na „ojczyznę“, ale i na poezji łono ten, któremu w niewolniczej tradycji estetycznej wykuwano z uporem wieszcz tron, żeby tem usprawiedliwić bratnią Mickiewiczowi królewskość jego poezji.

Dziś sztukę Słowackiego oceniamy już wedle jej własnych wewnętrznych wartości, jako najczystszy symbol bez reszty przeżytego materiału życia. Przystaliśmy przymierzać te wartości do otaczającej rzeczywistości; cały realizm egzystencji zaczęliśmy odnajdywać w najbardziej „napowietrznej walce duchów“, którą poeta rozstrozył w swej twórczości.

W istocie — tu — w dramaturgji Słowackiego należy szukać groźnej i władczej jego potęgi życiowej. Cały mistycyzm i cała fantastyczność jego wzniosłości wybucha z przepaścistych głębin realizmu, z którego wciąż rosnącej materji — uczynił poeta ośrodek swej sztuki.

W dramaturgji tej, w ognjach wstrząsających zmagani, nastąpiło tragiczne zcalenie beznadziejnych tęsknot do roli wieszczki — tylekroć zwyciężanego przez artystę, ilekroć fatalizm estetycznego widzenia nalaamywał życie zbiorowości do indywidualnego odczucia jego syntezy.

Twórca dramatu polskiego, jego treściowych i formalnych wartości, Słowacki pierwszy przychwycił na gorącym uczynku raniącą, ale jakże twórczą istotę wszelkiego fatalizmu! On pierwszy sprowadził wielkie linje tragedji dziejowych do irracjonalnego środka pojedynczej duszy, w której jarzy się znicz wszystkich zbiorowych natchnień. On pierwszy, wreszcie, uświadamia sobie, że najgłębszym źródłem twórczości życiowej jest walka ze sobą o siebie, i że każda wola czynu stwarza jednocześnie swój negatywny korelat oporu, który tej woli gwarantuje ciągłe i doskonalące rośnięcie wzwyż.

Nie jest-że to stanowisko społeczne, aż do granic spalającego tragizmu? Czy nie odgaduje się w niem najbłahsza rzeczywistość codzienności i najdramatyczniejsza komplikacja boju?

Przyjrzyjmy się istocie dramatu.

Cały jego sens polega właściwie na artystycznym ustosunkowaniu kardynalnych sprzeczności. Umiejętność wycucia i wyłonienia fatalistycznego związku wręcz wrogich sobie elementów rozstrzyga o głębi i żywotności dramaturga. Że ten, pozornie niewidzialny, zaczajony związek odrębnych biegunów życia stanowi właśnie most, na którym twórca buduje dramat, na którym wogóle i jedynie może powstać najszerzej pojęty tragizm — tego dowodem jest nasza codzienna i niecodzienna obserwacja życia. Konflikt powstaje z pewnego zazębienia rosnących i idących przeciwko sobie żywiołów. Ale przecież pojęcie wrogości już zawiera w sobie, w pewnej mierze, pojęcie łączności. Nie można powstawać przeciwko komuś, lub czemuś, jeżeli się wrogich cech przeciwnika, lub przeciwności, nie odczuwa, jako czegoś bliskiego sobie — jako cech, niemal w nas samych tkwiących. Nie chodzi mi w tej chwili o dwoistość motywu, przez dysharmonję do harmonji wiodącą, ale o samą naturę tego momentu walki, w której zapaśnicy muszą bezwarunkowo posiadać pewne wspólne pierwiastki, aby się wogóle móc zwalczać. Nie jest to żaden paradoks — raczej istota fatalizmu, rodzącego t. zw. dramat w życiu i w sztuce.

Walcząc przeciwko pewnym przejawom groźnego dla nas prądu — walczymy ostatecznie z widmem tych przejawów, tkwiących, jako możliwość, w nas samych. Najstraszliwszą przecież jest nienawiść, która wypływa ze zrozpaczonej miłości. Uczuciowe więc, czy faktyczne łączniki, — właśnie łączniki i pokrewieństwa zmagających się kultur, żywiołów, czy ludzi — decydują o dramatycznym przeżyciu i wybuchu. Tam, gdzie niema łączności, tam nie może być mowy wogóle o wrogości — tam conajwyżej występują: obcość, obojętność. Odrębne uczucia, czy zjawiska wzajemnie się wtedy omijają — bo nie mając nic wspólnego ze sobą — nie występują przeciwko sobie, i każde dąży w swoim kierunku, zgodnie z własnym przeznaczeniem; bo przeciwnik, czy przeciwność, wiedzione innym przeznaczeniem, tego właśnie kierunku sobie nie obiera, i, oczywiście, nie może być wtedy mowy o żadnym zderzeniu, czy zaognieniu wzajemnego stosunku. Mam wrażenie, że w takim ujęciu dramatu tkwi jego biologiczny pierwiastek, a więc czysto przyrodnicze źródło wszelkiego zatargu, które nas, czy życie nasze — wzburza.

Jest rzeczą zrozumiałą, że rezultatem takiego wstrząsu życia jest ból w najczystszej i najpatetyczniejszej postaci. Bo w istocie — przeznaczeniem dramatu nie jest odtwarzanie procesu życia, które po burzy i piorunach uśmiecha się na nowo „słońcem i pogodą“, albo stwarza kontrasty, ażeby podkreślić harmonję i wzmocnić nasz optymizm. Taki jest, prawdopodobnie, cel idealnej komedji. Tragedji celem jest uwydatnienie miazdzącej konieczności pewnego ustosunkowania, które w nas rodzi rozpacz bez granic i każe nam rozumieć życie, jako raniącą serce niedorzeczność — jak krzyk ratunku bez echa, albo to najważniejsze pytanie bez odpowiedzi.

Poparciem tych twierdzeń jest charakterystyka dramatów Słowackiego. Marzenie o wielkiem życiu stało się założeniem bólu i powodem upadku Kordjana. Potęga i groza Botwela oczarowały serce Marji Stuart, która tego serca nie umiała w swoim sojuszniku rozbudzić. Balladyna walczyła i wreszcie upadła pod uderzeniem krwawego przeznaczenia, które przez całe życie niosła w swej duszy. Szczęsny borykał się z niemocą wobec czynu, który najbardziej umiłował, — Roza zмага się i wreszcie rzuca na pastwę zguby cały naród, który stanowił jedyną treść jej życia. Lilla Weneda zginęła przez okrutną ofiarę dla ojca, — a przecież żądza poświęcania się była jedyną jej namiętnością. Wreszcie tragedia ks. Marka wypływała z walki z rzeczywistością polską, której był on idealnem wcieleniem. Widzimy więc, że element walki jest elementem życia, a wzruszający tragizm — najwyższą tego życia pobudką. Jakież więc jest stosunek sztuki do życia, dramaturga — do kolizji dramatycznej?

Przedmiotem sztuki — jest życie, — wielkiej sztuki — wielkie, głębokie życie. Już sama teoria Kosmogonji Słowackiego uczy nas, że na dnie psychofizycznego bytu płonie wieczny ogień — źródło istnienia — walka tajemniczych żywiołów, rodzących ból. Ten ból właśnie jest życiodajnym strumieniem, bo oznacza przechodzenie ducha z niższej do wyższej formy. W tej więc koncepcji mistycznej ujawnia się dramatyczny pogląd poety na proces życia, podobnie, jak w wizji miłosnej poematu „w Szwajcarji“ ostatecznem i najsilniejszym uczuciem jest beznadziejny smutek. Ten ból oznacza — według Słowackiego — wieczne narodziny, nieustającą twórczość. Poeta wielki, twórca istotny, jest jakby personifikacją płomiennego ośrodka bytu, jest świadomem wcieleniem zmagających się bożych, czy szatańskich mocy — a przecież to zmaganie się, ta nieśmiertelna przemiana materji nosi nazwę życia. Mickiewicz w „Improwizacji“ stwierdził już, że twórca, że wielki pieśniarz jest jakby ojcem tego świata wiedzy, uczuć i myśli, właśnie na obraz i podobieństwo Boga.

I jak Bóg, niosąc w Swem łonie całe światy, niósł dobro i zło, zaklęte w pierwotnych elementach tych światów, — tak samo twórca — człowiek, którego dusza mikrokosmosem bytu — nosi w tej duszy dobro i zło, dzień i noc, potęgę i słabość, rozkosz i ból, zdobywcę i ofiarę — słowem, całą wartość i wszystkie możliwości ludzkiego istnienia.

Ale teraz zachodzi pytanie, jak ma ten twórca ujawniać swą twórczą wolę, w jakiej formie i co ma rodzić? Wszechświat jest dziełem sztuki Boga, — wielką sztuką człowieka jest — człowiek. I artysta tworzy człowieka, tworzy go fizycznie i duchowo, ale przytem doskonali jego istność, wypełnia i bogaci jej organizm: bo oto wynurza z odmetów tej natury człowieka nieznanne i niespodziewane namiętności, które tam dla niego i innych drzemały niewidzialne, ledwo, ledwo wyczuwane. Od tego tajemnego wiewu naraz rozwartej przepaści duchowej idzie lęk na świat, — jak gdy pierwsza myśl o Antychryście zmaciła pocieszycielską łaskę Chrystusową, budząc grozę i przecucie, że życie nie zasypia na momencie triumfu, jakim jest dobro, wystrojone w dogmat etyczny, ale że to życie trwa w zażartych zapasach właśnie dobra ze złem, dnia z nocą, szlachetności z nikczemnością i t. d. Zdolność twórcza odkrycia i zestrojenia tych rozlicznych, przeważnie w walce ze sobą żyjących, cech — może być dziełem jedynie wielkiego artysty, bo on tylko zdolny jest wyczuć i stworzyć tak wyposażoną naturę ludzką. Te rozliczne, kłócące się z sobą cechy ludzkie, wcielone w jednym człowieku, wywołują w jego życiu ciężkie boje, w których istnienie jego upływa.

A czyż ten bój w życiu indywidualnem, czy zbiorowem — nie jest echem prabytowych „świętych wojen“ natury — tego ścierania się kosmicznych potęg — tej właśnie wielkiej, tajemniczej przemiany materji — dzięki której Bóg nadał ruch i energję do życia światu?

A czyż starożytny, czy nowożytny — byle wielki twórca nie podejmuje ciągle tego samego tematu walki w swoim tworze i w swoim bohaterze?

A ponieważ walka jest osiá dramatu, więc między formalnem, literackiem określeniem, a ogólnem pojęciem dramatu musi być macierzysty związek. Ten związek i ta głęboka symbolika dramatycznego utworu uprawnia nas do przeświadczenia, że w szeregu rozmaitych sztuk i rodzajów literackich — dramaturgowi jednak dane jest pierwszeństwo w męczeńskim i zaszczytnem dziele budowania człowieka i jego przeżyć. Jest w tej pracy żywe pokrewieństwo z trudem twórcy. Słusznie więc Słowacki mówił o sobie, że jest najbliższym powiernikiem Boga. Była w tem pokora i żarliwość religijna, ale była i świadomość twórczej, niemal boskiej, potęgi.



DR. HERMINJA NAGLEROWA

ZMAGANIE SIĘ SŁOWA Z DUCHEM SŁOWACKIEGO



upremacja, słowa czy treści, jest zagadnieniem, które niepokoi zawsze pisarza-artysię. Zwycięstwo słowa, albo triumf treści, wynika jednak z przyrodzonych właściwości pisarza, choć jest też często cechą epoki. Dziś, gdy się mówi: słowo, język, styl—ma się właściwie na myśli jeden i ten sam wyraz twórczy, który domaga się swoistego bytu, niezależnego od tematu, treści, formy i konstrukcji. Jarosław Iwaszkiewicz stwierdza nawet, „że zarówno temat, jak filozofja w dobrej prozie, to tylko odmiany stylu“.

Nie chcemy tu rozstrzygać odwiecznego sporu, ale zdaje się nam, że nowe prądy literackie przynoszą—jednocześnie ze zmianą tematów—rozrost słowa. Słowo, coraz właściwsze, jest zdobyczą artysty, jest zdobyczą wyższej kultury. Wraz ze słowem rozszerza się horyzont człowieka, bo słowo utrwala postęp myśli.

Wynika stąd, że konieczną jest równowaga treści i słowa, a przerost słowa może się stać szkodliwym ubóstwem treści. Taksamo jednak treść jest tak długo niema, dopóki nie wyrazi jej dla wszystkich—słowo. I tak, widzimy, że po ciasnej, pseudoklasycznej „L'art poétique“ Boileau, sprzymierzonej z ciasnotą tematów, przyszedł okres bujnego, romantycznego wysławiania się, jako odpowiednika do bujności romantycznej treści.

Dziś sprawa słowa i treści jest niemniej aktualna, a że idą dni, poświęcone powracającym do kraju prochom Juliusza Słowackiego, przeto warto przypomnieć sobie, jak walka o słowo i treść stać się mogła tragedją twórcy. Bo owa krzywda, którą się tak bardzo gnębił Słowacki, nie była przecież niczem innym, jak opozycją współczesnych przeciw supremacji słowa.

Oto Słowacki, który — według Krasieńskiego — był logicznym następstwem Mickiewicza, rozwinął bogactwo romantycznego języka tak wspaniale i tak szybko, że współcześni nie mogli mu nadążyć: brakło im poprostu tchu. Styl Słowackiego działał oszalamiająco, a niedościgłość poety, wobec której musiały zblednąć wysiłki innych modernistów-romantyków, irytowała rówieśnych, zwłaszcza, że nastąpił już zwrot ku przewadze treści.

Tak strojnie, barwnie i muzycznie, jak Słowacki, nie potrafił wówczas pisać żaden polski poeta, nie wyłączając wielkiego Mickiewicza. Wydawało się to czemś anormalnym, bodaj świętokradczem, i stąd też uczyniono Słowackiemu odrazu zarzut, że w dziełach jego jest przerost słowa kosztem ducha. „Duch“ był bowiem w górnej nomenklaturze romantyków tem, co dziś nazwalibyśmy ideą treści.

Słowacki, pchnięty w samo serce sztychem krytyki, na chwilę uwierzył w swój grzech i, ścigawszy cugle, poskromił, jak mógł, rozhukany pęd słowa.

W „Godzinie myśli“ był jeszcze tak dumny z pochwał przyjaciela, Ludwika Spitznagla: „Szczęśliwy! twoje myśli świetniej w słowach płoną, niż gdy w sercu zamknięte“. Poeta wiedział przecież, że jego słowa — to czyn twórczy! Ale, gdy nie dostrzeżono Boga w pięknym kościele poezji Słowackiego, poeta wyposażył „Anhellego“ niemal wyłącznie — duchem. Uczynił to celowo. W liście do Gaszyńskiego wyraźnie zaznacza: „Anhelli potrzebuje komentarza, jak Dante, albowiem pisałem go umyślnie zwięzłe i z wielką ekonomją detalów—kto więc nie popracuje imaginacją własną nad każdym frazesem „Anhellego“, temu wszystko będzie w nim blade; literatura bowiem terazniejsza w tem właśnie błędna, że się nad wszystkim z wielką miłością własną rozwleka—i wszędzie fałszywemi sypie brylantami,—ochwaciły się więc imaginacje czytelników — i leniwe są“.

Jakże wzrusza to zapieranie się Słowackiego, to wyrzeczenie się strojnego słowa, aby uczynić zadość ascezie ducha, tak wówczas modnej i temsamem niemal obowiązującej! „Anhelli“ był więc rezultatem psychicznego załamania się poety, albo przynajmniej rezultatem ciężkiej walki, jaką twórca stoczył z istotną cechą swego talentu. Poddał się—krytykom, lecz nie nadługo. Nie mógł przecież nazawsze wytrwać w zwięzłości i ekonomji, tak obcej jego charakterowi twórczemu, tembardziej, że „Anhelli“ nie przejednał niechętnych.

W wielkim obrachunku z nieprzyjaciółmi, w „Beniowskim“, zaniechał więc Słowacki trudu przystosowywania się do gustów i widzimisiów emigranckiej braci literackiej i, poparty przez Krasieńskiego, palnął już na cały głos swoją wewnętrzną prawdę: „Ktoś to

powiedział, że gdyby się słowa mogły stać nagle indywiduami, gdyby ojczyzną był język i mowa: posąg by mój stał stworzony głoskami, Patri Patriae...“

W tych słowach niema już ani zwątpień, ani nie są potrzebne komentarze, wyjaśniające stanowisko artystyczne poety. Świadomość siły i wartości domaga się uznania bez zastrzeżeń. Poeta nie ugina się skromnie pod nakazem krytyków, ale właśnie kreśli swój świetny program, swoje nakazy artystyczne: „Chodzi mi o to, aby język giętki powiedział wszystko, co pomyśli głowa...“

Tak, jak to uczynił Słowacki w „Beniowskim“, nikt wtedy nie potrafił określić ważności słowa i jego nierozdzielnej wspólności z treścią i formą. Więcej jeszcze: — Słowacki ujawnił, jak treść ze słowa się rodzi! Nie ulega wątpliwości, że w chwili twórczenia „Beniowskiego“ poeta wierzył w supremację języka, stylu, słowa. A mógł to tem śmieiej głosić, że znalazł niebylejakiego chwalcę w Krasieńskim, który nietylko rehabilitował Słowackiego, ale — wbrew wszystkim — wyznaczał mu miejsce obok Mickiewicza. Pierwszy to raz krzyknął ktoś na głos o Słowackim: „Wielki poeta!“

Krasieński jednak bardzo dobitnie stwierdzał, że wielkość Słowackiego, to — słowo. Warto przytoczyć ten hymn pochwalny poety o poecie:

„Potęga Słowackiego najbardziej w stylu zawarta. Styl jest najogólniejszą formą każdego utworu sztuki; nim, jak przedzą, i z niego, jak z materiału, snuje pasmo swoje całe poeta. Siła odwcielań, panująca i prze-magająca w Słowackim, w tę tylko najpowszechniejszą, ostateczną formę dokładnie wcielić się może. Styl Słowackiego, to on sam, to ducha jego kierunek, roztapianie się nieustanne na wszystkie strony i ku wszystkim stronom. Stylem tym bije ciągle, jakby falami, o granicę wszechrzeczy, ciągle podmywa i stara się odsunąć.“

Nikt tak smukle, gibko, fantastycko po polsku nie pisał: — pokora, z którą wiersz mu niewolnikiem, przechodzi wszelkie prawdopodobieństwo, — na króla nam wygląda, kiedy zacznie mówie polskiej rozkazować. Biegna ku niemu tłumem miary, rymy, obrazy, a on je despotycznym kaprysem posyła, gdzie chce: — każe im płynąć, a płyną, więc się pozwoli, a pełzną, — wzlecieć, a wzlatują i leca,

jak orły. Co krzyków dzikich i niewinnych śmiechów, co łez kapiących i śpiewów radości, co grzmotów rozłożystych i nikłych szmerów tam w każdej rodzi się, przemija, umiera!

Aż prosi się język o folgi nieco, ale napróżno: — mistrz go ujął i nie puści. Musi się on pod jego twórczym tchnieniem rozrabiać i przera-biać bez końca, musi wszystkie kształty przybrać: od prozy, nad którą poetyczniejszej w żadnym języku nie znamy, aż do wiersza krótkiego, doraźnego, co, jak nóż ostry, pada i utyka w sercu. Wszystkie możliwe dyssonanse on przeprowadzi, rozwiąże — nic mu pod tym względem niedostępnego, — nic, przed czymby myślał się cofać, — i w tem nigdy nie znać ni pracy, ni wymusu. To natura jego, przedziwnie giętka, co wewnątrz ciąglem rozruszona drganiem, na zewnątrz snuje się przegubami. W czarnoksięstwie stylu Słowacki stanął tak wysoko, że nikt wyższym nad niego, a równym — rzadko kto!“

Po takim objawieniu przez Krasieńskiego, pozycja Słowackiego była już po wieki ustalona w literaturze. Nic tu nie można dodać, ani ująć. Słowacki, pasowany na mistrza słowa, mógł teraz dopełnić swego twórczego zadania.

Lecz właśnie nadchodził czas, kiedy poeta sam pogardził placówką, zdobytą po latach cierpienia i nieuznawania. I tu już nie tragizm, spowodowany złą wolą niechętnych, ale wewnętrzny tragiczny przełom pchnął Słowackiego na nową drogę. Poeta rzuca świetność słowa i idzie na pokorną służbę ducha.

Nikt mu nie nakazywał tych bolesnych wyrzeczeń, nikt cierpkim słowem nie domagał się tych przemian, które kazały poecie wypisać w dzienniku pod datą 29 września 1848 r.: „Język stworzyć narodowi jest to szatańska przysługa. Wkrótce z formy wydobyc się nie może, leniwieje duchem — łatwość tłumaczenia się bierze za obfitość myśli.“

Zwycięstwem ducha-myśli nad słowem-formą kończą się zmagania twórcze i ludzkie poety. Ale dziś, gdy na pokładzie okrętu — o, jak dziwny bywa splot wydarzeń — okrętu, który nosi nazwę: „Mickiewicz“, dziś, gdy go właśnie na barkach swoich do kraju przywozi druh — nie druh „Mickiewicz“, Słowacki jest i pozostanie dla nas przede wszystkim mistrzem w czarnoksięstwie słowa.



ZÓFJA MISZEWSKA

SZLAKAMI TĘSKNOTY



zaraniu życia, w dalekich, jeszcze dziecinnych, dniach, kiedy to samotne zamyslenia odnajdywały dopiero drogę do umysłu, a zamiary wyrażały się cichymi, a bezradnymi modlitwami — Słowacki rzucił ku Bogu dwa pragnienia: sławy po śmierci i poetyckiego życia.

Dziwne zaiste prośby: nic w nich nie trzyma się tegoczesności, nic krótkich zadowoleń i lekkomyślnych uśmiechów. I jedna i druga oparte są na ciągłym postępie: byle dalej, byle pełniej i barwniej żyć i gotować sobie oną pośmiertną sławę, która zamarzyła zuchwale o grobowcu w „polskim Westminsterze”. I właśnie drogą do tego grobowca poszło życie Słowackiego fantastyczne, najcudowniejsze poetyckie, w którym nic nie osiągnął i nie wykończył w sobie, a przez to pełne głębokich, tragicznych tęsknot. Bo tęsknota była jego istotną treścią, z której wynikło wszystko i na której wszystko zamarło. Tęsknota za krajem. Jakiemiż drogami szła ona poprzez życie poety?



Pani Salomea Bécu, matka Juliusza Słowackiego.

Przedewszystkiem bardzo się różniła kolorytem i nastrojami od tęsknoty Mickiewicza, czy Krasińskiego. Była jakaś bezradna sama w sobie, jakaś podświadoma początkowo; latami dopiero narastała, gromadziła się pokładami w sercu, leżąc ciężką granicą między wiarą, a niewiarą, między: za życia i — po śmierci.

O powrocie za życia Słowacki marzył tylko czasami, tylko bardzo nieśmiało i lękliwie. Pierwszy rok jego poza Ojczyznę przebywania oszałamiał go chaosem nowych wrażeń; przymglony był trochę lekkomyślnym stosunkiem do całej sprawy wyjazdu. Rzadko więc wyrwały się poecie bolesne westchnienia w stronę kraju, jak np. „Mamo moja! śliczny kraj opuściłem, a może już do niego nigdy nie będę mógł powrócić...” Lecz wyraźnie nie marzył jeszcze o powrocie. Był to ów pamiętny 1831 rok: w kraju trzeba było mocnych dłoni i zdecydowanych czynów, a w Słowackim właśnie zaczynało się budzić poczucie winy i wstyd tego uciekinierstwa prawie że z placu boju, co później ujął w następujące słowa z listu do matki: „nie gadaj teraz przed nikim o mnie, aby mnie teraz zapomniano; może potem znajdę sposób zyskania szacunku w moim kraju. Imię moje nie może być teraz na żadnym grobie wyrte, ale przyjdzie chwila...”

I życie Słowackiego poczęło być upragnieniem i oczekiwaniem tej chwili; widać poeta zapomniał, że sławę, która jedynie przynieść mu ją mogła, otrzyma dopiero po śmierci, w myśl dawnego, — między nim, a Bogiem — układu. Czekał. Z mrocznego i hałaśliwego Paryża, który wiecznemi niesnaskami emigranckiej braci obrzydł mu zupełnie, wyruszył do cichej, w Lemańskie jezioro zapatrzonej Genewy, i tam, wśród „wielojęzycznego” tłumu, zalegającego pensjonat pani Pattey, uczuł się nagle bardzo samotnym bez kraju, któryby nań w dali oczekiwał. Często, siedząc wieczorami przy kominku, myślał o swej nieprzestąpionej dalekości i coraz jaśniej poczynał zdawać sobie sprawę, że oto rozłożyła się przed nim droga Wiecznego Tułacza, i że ani zatrzymać, ani cofnąć się już nie pora. Przesądzono. Zostają mu tylko strzępy pamiętek, coraz niklejsze i bledsze; coraz niklejsza i bledsza nadzieja. „Szczęśliwy, kto z oczów komina ojcowskiego nie straci, kto, jak liść zwiędły, padnie u stóp drzewa, na którym wyrósł!” — pisze Słowacki do matki, poczynając z przerazaniem odczuwać jakieś niby oziębienie serca, z powodu takiego przerabiania się „na obywatela świata”

Tracił jakoby (zdawało mu się jeno) zdolność przywiązywania się do ludzi i miejsc, bo serca mu już nie starczyło na przeróżne drobniejsze uczucia: rodziła się w nim troska powrotu, troska bolesna o to, zali

spojrzy jeszcze kiedykolwiek w ukochane macierzyńskie oczy, zali odetchnie jeszcze ojczystem powietrzem. Serce jego chwyciło się najdrobniejszych wieści z kraju, zaczęło o nie swoją siłę kochania, aby po pewnym czasie osłabnąć niezaspokojone i ciągle czekające. Przestrzeń między nim, a krajem wzrastała prawie z dnia na dzień—zapomnieniem osób, dawniej bliskich, i mogiłami, grzebiącymi coraz liczniej tych, których zostawił. Matka była mu tylko ciągle jednaka, to też tęsknotę za nią i tęsknotę za Polską wyplakiwał takimi samymi łzami i tak samo modlił się o powrót do nich. *Chwila* nie nadchodziła. Więc jakiś wewnętrzny niepokój kazał mu jej szukać po świecie, niepokój bezradności, która nie ma siły, by głąz odwalić, a obchodzi go dalekimi, często fałszywymi drogami. Taką drogą dla Słowackiego okazała się wędrówka, która prowadziła go przez Rzym, gdzie wspólnie z Krasiańskim marzył o Polsce; przez słoneczny Neapol i radosną Florencję, aż do dalekiego Jeruzalem, gdzie u Grobu Chrystusa, kto wie, czy nie wymadlał cofnięcia dziecinnych prośb.

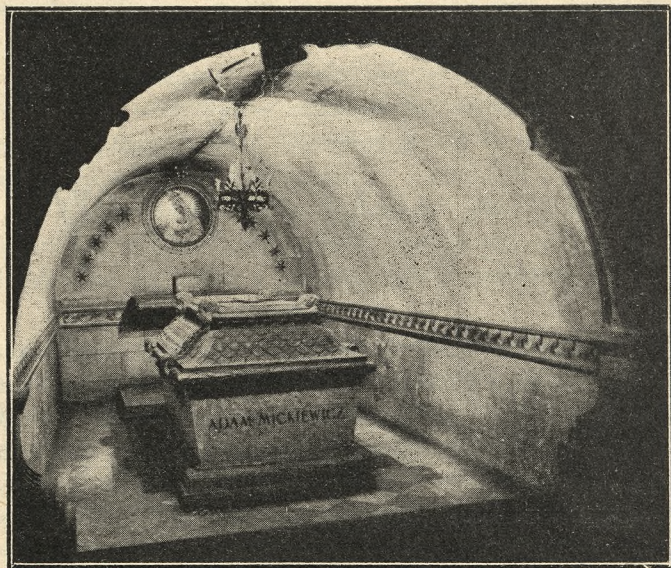
Ojczyzny bliższej, niż poprzednio, nie odnalazł jednak nigdzie: spiętrzały się tylko pokłady tęsknoty w jego sercu i coraz bardziej przyciskały do ziemi, coraz bardziej przyciemniały spojrzenie. Tegoczesność stawała się pustką, w której głuchym echem przeszłości dzwięczały tylko dalekie wspomnienia i Góry Zamkowej, i małych, cichych domków Krzemieńca i Wilna, bliskiego młodzieńczemi zapałami; grobu „babuni“, z pochyloną nad nim czeremchą, gdzie i dla poety miało się znaleźć miejsce wiecznego spoczynku. Dalekie cmentarze droższe mu były od najwspanialszych miast Zachodu, i marzył o nich głośno, wzięwszy w głąb siebie całą samotność swą i obcość. Widział w nich pokutę za dawne przewiny i znał drogę swego okrętu, który wszak nie do kraju płynął, „płynąc po świecie“.

Nie dała mu już trwałej pociechy ani radosna Florencja, ani tembardziej Paryż, gdzie wrócił na resztę dni swoich, odczytując na jego murach pierwsze, przed laty zostawione, wrażenia wygnańczej podróży. Jedyne uśmiech przyniósł mu krótki pobyt w Poznaniu i Wrocławiu, dokąd podążył dla zobaczenia się z matką. „Ja sam się dziwię, że tu jestem“, pisze wzruszony poeta, „że oddycham powietrzem; którego woń dzieciństwo mi moje przypomina, że widzę chłopki polskie na wozach i po kościołach“.

Lecz okrutny dla poety los stanął wprost jego drogi do kraju i rozkazał mu wracać do zawsze obcego

dlań Paryża, gdzie już miał pozostać, przez „długi, długi szereg lat. Po tym ostatecznym powrocie na obczyzną stanął dopiero Słowacki oko w oko z rzeczywistością i zrozumiał melancholijną poezję swego życia, która polegała na tem, że wszystko mogło się dlań zacząć dopiero „po tamtej stronie“. Dwa dziecinne pragnienia: sławy po śmierci i poetyckiego życia—zależały się o siebie swemi przyczynami i skutkami, lecz Słowacki nie od razu wniknął w istotę swego przeznaczenia. Przeczuwał je jednak daleko wcześniej, niż rozumiał, gdy pisał w jednym z Genewskich jeszcze listów: „Ludzie, którzy mnie teraz zapominają, będą kiedyś pamiętać o mnie, a kiedy przyjdą tutaj wygrzebywać popioły, leżące po zielonych cmentarzach, może także mnie wezmą i zaniosą do mojej ziemi. O takim teraz marzę powrocie“.

Przedziwne spełnienie marzeń: powrót okrętem, który nawrócił ze swej światowej drogi, aby przynieść Wielkiego Tułacza do Ojczyzny, opuszczonej blisko wiek temu. Oto przyszła *Chwila*: imię jego ze czcią wyryjemy na grobowcu w „polskim Westminsterze“, i pochylimy nisko głowy, dumając o niezwykłych pragnieniach tego człowieka. Pośmiertna sława zrealizowała wszystkie jego marzenia, oprócz najskromniejszego: nie dała mu widoku ukochanych osób i miejsc. Choć może i to otrzymał „po tamtej stronie“.



Krypta Adama Mickiewicza; obok niej wykuta jest obecnie druga Krypta, w której spoczną prochy Juliusza Słowackiego.



FELICJA KRUSZEWSKA

PRZYMIERZE

My epitaph shall be my name alone.

*Mokry jak strużka wody jest pogwizd słowiczy
i cmentarz się na Rossie srebrną rosą rosi —
i wiatr jest cały słodki od kwiatów słodczy
i może Bóg wysłucha, gdy dziecko poprosi.*

*Mała pierś suchotnicza wiew wieczoru wdycha,
kwiaty biorą na siebie smutną dziecka troskę.
Mgły zawisły nad Wilją i miasto ucicha.
Cicha jest cała ziemia—w niej serce ojcowskie.*

*Opuściły już ziemię, już biegną do nieba
oczy, które płakały nad śmiercią Hektora.
Przyszła godzina myśli i, modlić się trzeba:
dziś zawiera przymierze — kiedyś przyjdzie pora.*

*O Boże, to już samo tętni w serca biciu!
Jedna jest tylko radość, jeden ból najżywszy —
Daj mi sławę po śmierci, niechaj będę w życiu
pogardzony, nieznany i najnieszczęśliwszy.*

*A potem przyszedł spokój i w sobie roztopił
łzy drżące w małym sercu i w dziecinnym głosie,
księżyc wyszedł na niebo i srebrem pokropił
szumiące ciemne drzewa i cmentarz na Rossie.*

*Księżyc dotknął srebrzyście długich czarnych loków,
wiatr pachnąco i miękko w mokre rzęsy dmuchał,
rozsunęły się brzegi strzępionych obłoków
i spadła jedna gwiazda. I Pan Bóg wysłuchał.*



HERMINJA NAGLEROWA (J-A STYCZ)

8

MOTYW KSIĘŻYCA

Nowela

Przyszli wreszcie pod białe sztachety, mizdrzące się cienkimi palikami. Równiutko, w pensjonarskim szeregu, spięty potrójną strażą kolczastego drutu, wiódł parkan do łuku bramy, rozwiniętej szerokim wachlarzem.

Za bramą poszedł Andrzej boczną ścieżką w stronę kuchni i mieszkań czeladzi.

— Wrócimy póki księżyc świeci, za dwie godziny — rzucił mu Hipolit.

Drewniane słupy na ganku dworu w Adamówce chwiały się, gdy się kto zbyt silnie na nich opierał. I Marja odsunęła się pośpiesznie, czując podstępny chybot podpróchniałych walców. A tak trzeba jej było oparcia, choć na chwilę! Nieoczekiwane słowa są bowiem, jak silne pchnięcie, i wtedy traci się równowagę. Nogi stają się giętkie i niemocne, a ciało leci w próżnię.

— Czy chciałabyś zostać moją żoną?

Hipolit mówił to trochę ironicznie. Jakby szydził z siebie i z Marji. A jednocześnie czekał na dobrą odpowiedź, na stereotypowe: tak.

Ale Marja milczała. Hipolit dostrzegł jej szybki ruch w cień. Tylko dłoń Marji rozpięła się palcami na lśniącym walcu kolumny i drgnęła, jak leniwe, rozbudzone, białe zwierzątko.

— Nasze rodziny byłyby zadowolone — podjął znowu Hipolit.

Mówił już poważnie i ciężko, niezgrabnie układał zdania.

— Nie wiem, czy mnie dostatecznie kochasz — powiedziała wreszcie, a brzmienie jej głosu było płaskie, jak dźwięk cynowej blachy.

— Nie wiesz? — urwał — No, tak. Jakże cię przekonąć?

— I nawet nie to. Nie umiem sobie samej poradzić. Rozumnie, chłodno poradzić. A przytem ser-

decznie i po przyjacielsku. Nie jestem sobie przyjaciółką. Nie jestem dla siebie dość szczerą i mądrą.

Hipolit zaśmiał się. Podobało mu się to rozdwojenie, czy podwojenie.

— Jeden tylko mógłby mi być poradzić — Jan. Był rozważny. I myślał z prostotą.

— Ach tak? — Jan.

Rozpostarła się w ciszy chusta zimnej niechęci. Zniecierpliwienie ściągnęło usta. Pragnienie odejścia zakolysało się w sercu. Nie znalazło się już przecie inne słowo nad suche, jak martwa, wymłócona słoma:

— Tak, tak

Albo, jak długie, rozlazłe ziewnięcie:

— Jan...

Na rozumny, przyjazny duet nie było już miejsca. Marja powiedziała głęboko, z ciężkim przydechem:

— Kocham ciebie.

Ale Hipolit stężał, jak drewno. Wypowiedziane słowa zgubiły się, zapadając się w topiel obojętności. Marja podeszła do Hipolita. Jej ramiona zaświeciły srebrzysto. Ciepłym opłotem otoczyły jego uparty kark. Usta wycalaowały prośbę o przebaczenie. Musiały się jednak cofnąć odepchnięte i zawstydzone. A mimo to jeszcze raz szepnęły rozrzutnie:

— Kocham ciebie.

Przygarnęła się głową do jego szorstkiego i niegościnnego rękawa. Cisza wydłużała się, znaczone śpiesznym mruganiem powiek. Oczekiwanie końca stawało się beznadziejnie kłopotliwe.

Dopiero lekki szelest gdzieś obok pozwolił odechnąć z ulgą. Po żwirze ścieżek skradał się ten szelest kroków i, ścichając, odpłynął w noc.

— Jakby tu ktoś był i odszedł — zatrwożyła się Marja — Słyszałeś?

— Tak, zupełnie wyraźnie słyszałem kroki.

— Kto to mógł być? Zawolałam!

— Nie — to przecież nic nie znaczy. Teraz niema już nikogo.

Hipolit tłumił rozdrażnienie. Prawie wiedział, kto tu się włóczy podstępnie. Wiedział, czyje to kroki zaszepotały śmiesznym zuchwalstwem i umknęły w niktzemnym tchórzostwie.

Powiedział wreszcie.

— Odejdę już. Trzeba posłać po Andrzeja.

Ale Andrzeja nie można było odszukać. Nie było go ani w kuchni, ani w stajni. Widziano go chwilę tu i tam. Prawdopodobnie poszedł na wieś do matki. Lecz i tam był króciutko i odszedł.

Wtedy dopiero mógł sobie Hipolit pozwolić na jawny gniew. Sponiewierał nieobecne. Triumfalnie zożydzał pupila Marji. I wreszcie — wbrew poprzednim niezłomnym postanowieniom, wbrew dobrze obmyślanym, rozsądnym nakazom przemilczenia wypadków ostatniej nocy — powiedział Marji wszystko.

— Biedny chłopiec! Nie, nic o tem nie wiedziałam. Nigdy mi o tem nie mówił Jan, ani nikt inny.

— Zrozumiesz, że nie mogę go teraz zatrzymać.

— Trzeba go posłać do lekarza. Przecież to można leczyć.

— Ależ on się nie przyznaje do tego. Wypiera się. Może i teraz usnął i...

— To straszne!

— Straszne, — kpił, — bo muszę teraz sama wracać i męczyć się przeciw fali.

— Dam ci kogoś do pomocy.

— Nie, dziękuję. Jakoś sobie poradzę.

Wszystkie domysły i posądzenia były jednak niesłuszne, bo Andrzej czekał już koło łódki. Milczał, gdy Hipolit warknął wymówką. Zesunął na rękę łódkę i przytrzymał ją usłużnie, dopóki Hipolit nie wsiadł. Poczem pchnął lekko wiosłami, a potem znowu pochylił się naprzód i zagarnął silnie długim odrzutem. Woda spłynęła dwoma promieniami, przecięła się i wzburzyła drobna fala. Księżyc zesunął się już nisko po niebie i tańczył niemal przed oczyma płynących. Za nimi mroczył się krajobraz i, obrastając czernią, podsuwał się wzwyż.

Hipolit zapatrzył się posepnie w księżyc. Zielony, mglisty blask ciągnął go ku sobie, wywołując uczucie nudy. Zadrzało mu w sercu i wezbrało mdłością. Bezsilne ramiona bawiły się wiosłami. Zatrzepotało lękiem od płaskiej wody aż po wysoki strop nieba. Żadna siła nie mogła już opanować tej bezmiernej przestrzeni, przepelnionej ruchliwym przelotem czarnych plam. Myśl z trudem przedzierała się przez wirowisko, czepiając się jasných wężyków światła. Wargi poddały się szaleństwu rozpaczki, i melody, dusiły jakieś słowa, wzywające pomocy.

Jakże ciężkie stawało się milczące osamotnienie! W wewnętrznym zakłamaniu stłumiona została wezbrana burza słów, kłębiących się w buncie przeciw despotyzmowi milczenia.

Wtedy usłyszał Hipolit daleki głos, jakby wyciśnięty mozolnie z gąbczastej atmosfery. Głos podciągnął go ku sobie i dobroczynnie zatrzymał.

Andrzej mówił coś.

W uszy uderzył gładki plusk wody i porwał zdanie na strzępy. Dopiero w chwilę później pojał Hipolit ich treść i powiązał je ze sobą. Andrzej opowiadał o Janie. Przypominał takie jazdy po nocy. Jakież chłopięce dawne zachwyty spinał entuzjastycznymi okrzykami. Z westchnień i żalów wywlekał prostą niteczkę przyjaźni. W Hipolita biły te płacze Andrzeja, jak grad kamieni. Bolały go fizycznie. Kurczył się, usuwał przed ciosami. Dopadały go jednak celnie, gryząc twardymi uderzeniami. Poddał się wreszcie. Zapadł w sobie.

— Niech wałą we mnie, niech biją, niech zasypią!

I cicho, jęklawie domagał się:

— Mów jeszcze Andrzeju, opowiadaj...

Łączył się obłudnie we współżalu. Wzmacniał. popierał przyjacielskie treny.

(d. n.)

PLANTATOR Z MALATY

Autoryzowany przekład Teresy Tatariewiczowej

Renouard zadrzał. Myślała o Malacie! Ale, co? Malata — to on. On i Malata — to jedno. A ona myślała o wyspie! Ona myślała...

Siostra profesora pochyliła się ku Renouard'owi. Podczas tych kilku dni podróży nikt na statku nie wspominał odnalezionego. Milczenie to wpływało poczęści ze skrępowania, ciężącego na nich wszystkich. Stara panna nie była nazbyt zadowolona z odnalezienia biednego Artura — bez pieniędzy i bez widoków na przyszłość. Lecz wzruszała ją romantyczność sytuacji-

— To niezwykła chwila! — szepnęła, otulona w fałdy białego okrycia. — Niech pan pomyśli: biedny Artur śpi tam, tak blisko naszej drogiej Felicji, i nie wie, jakie ogromne szczęście spotka go jutro.

Tak nienaturalne były te słowa „woskowego kwiatu“, że nie wzruszyły wcale Renouard'a, [lecz natomiast jego serce, pełne niepokoju, przemówiło przez niego, gdy rzekł:

— Nikt nie wie, co go jutro czeka!

Podstarzała dama obruszyła się, jakby to była niegrzeczność: zamiast tych szorstkich słów Renouard powinien był powiedzieć coś miłego i dostosowanego do chwili. Na statku, gdzie ani razu nie ukazał się we fraku, podobieństwo jego do księcia nie uderzało jej tak bardzo, pozostał, niestety, tylko jego cygański wygląd. Powstała z pewnego rodzaju ostentacją,

— Późno już, a jeśli mamy przenocować jeszcze na statku — rzekła — lecz wydaje mi się to takim okrucieństwem!

Profesor powstał szybko i, wytrząsając popiół z fajki, rzekł:

— Ależ, droga Emmo, tak będzie rozsądniej.

Renouard stał za krzesłem panny Moorsom.

Wstała z wolna i, postąpiwszy nieco naprzód, zatrzymała się, spoglądając na wybrzeże. Ciemna, nieokreślona plama wyspy przysłaniała gwiazdy, jak ciężka, wisząca nad wodą, brzemenna burzą chmura, która za chwilę zacznie miotać płomienie i gromy.

— A więc to Malata — powtórzyła z zadumą, kierując się ku drzwiom kajuty. W jasnym płaszczu, zarzuconym na ramiona, z twarzą bladą, jak kość słoniowa, gdyż noc przygasiła jedynie blask jej włosów, podobną była do sennej zjawy, pytającej w zamyśleniu. Zniknęła, nie pożegnawszy się z Renouard'em. Głos jej przeniknął go do szpiku kości, jakby tajemniczy dźwięk cudownego instrumentu,

Stał ciągle bez ruchu. Co ją tak poruszyło, że aż głos jej zabrzmiał tym dziwnym akcentem? Nie śmiał odpowiedzieć na to pytanie, lecz było inne, na

które musiał dać odpowiedź: co należało czynić? Czy nadeszła chwila spowiedzi? Myśl ta krew mu ścięła lodem.

Wydawało się, jakby oni wszyscy coś przeczuwali. Podczas ponurych dni podróży zauważył, że ten sam przymus krępował ich między sobą. Profesor był w złym humorze i palił fajkę po kątach. Renouard zauważył nieraz wzrok panny Moorsom, spoczywający na nim z dziwną powagą. Wyobraził sobie, że unika rozmowy z nim. Stara panna wydawała się też niezadowolona. Ale co on ma teraz począć?

Światła na pokładzie pogasły jedne po drugich. Statek spał.

W godzinę potem, jak panna Moorsom zeszła na dół bez słowa, lub znaku pożegnania, Renouard wstał ze swego hamaku, który wisiał pod namiotem, na śródokręciu, gdyż wszystkie pomieszczenia pod pokładem oddał swym gościom. Zerwał się szybko zręcznym ruchem, zrzucił górną część pyjamy, spodnie zawinął aż na uda i posunął się naprzód, niezauważony przez kanaka, odbywającego kotwiczną wachtę. Biały jego tors, obnażony jak tors atlety, jaśniał niesamowicie w ciemnościach, panujących na pokładzie. Niezauważony przez nikogo, przeszedłszy poprzecz bukszpryt, spuścił się po bazdunach i, schwywszy się obiema rękami za harpun, spadł w morze bez plusku.

Odpłynął cicho, jak ryba, i skierował się wprost do łądu. Ciepła woda unosiła go w swych objęciach, kołysząc łagodnie; czasem mała fala zaszemrała mu w uszach. Od czasu do czasu, spuściwszy nogi, dotykał dna; mógł wówczas chwilę odpocząć na mieliźnie i zorientować się, co do kierunku. Wylądował w najniższej części ogrodu, otaczającego bungalow, wśród śmiertelnej ciszy, panującej na wyspie. Nigdzie nie było widać światła. Plantacja spała równie głęboko, jak żaglowiec. Na dróźnie zatrzeszczała pod jego stopą rozgnieciona muszla.

Wierny mulat, obchodząc plantację, usłyszał ten szmer i zaczął nadsłuchiwać. Wzdrygnął się, strwożony, na widok białej postaci, wylaniającej się nagle z ciemności. Przykucnął ze strachu na ziemi, ale wnet zerwał się i, poznavszy Renouard'a, zaczął cmokać ze zdziwienia:

— Tsel tsel tsel to pan?

— Milcz, Luiz, i posłuchaj, co ci powiem!

Tak, to pan, potężny pan, który nigdy nie podnosił głosu, lecz był słuchany ślepo, bez pytania. Wśród cichej nocy mówił prędko i cicho, jak gdyby

drogocenną była każda chwila. Dowiedziawszy się, że trzy osoby przyjechały z panem, aby pozostać dłużej na wyspie, Luiz znów zaczął cmokać. Cmokanie to było niezmiennym, stenograficznym sposobem wyrażania jego uczuć i miało niesłychanie urozmaicone znaczenie.

Słuchał zresztą w głębokim milczeniu, przerywanem czasami cichem: „Tak panie!” gdy Renouard przerywał sobie na chwilę.

— Zrozumiałeś? — dopytywał się Renouard. — Nic nie masz przygotowywać, dopóki nie wyładujemy zrana. Opowiesz, że pan Walter wyjechał na handlowym statku w objazd wysp.

— Tak, panie!

— Nie pomył się tylko!

— Nie, panie!

Renouard zawrócił ku morzu. Luiz, idąc za nim, zaproponował mu, że wezwie z pół tuzina ludzi, którzy go odwiozą łodzią.

— Głupcze!

— Tsel tsel tsel!

— Czy nie rozumiesz, że mnie niewidziałeś?

— Tak, panie. Lecz tak długo płynąc, mógłbyś utonąć.

— Wtedy możesz opowiedzieć o mnie i o panu Walterze, co ci się spodoba. Umarłym jest już wszystko jedno.

Renouard, wszedłszy w wodę, usłyszał przyciszone, niespokojne cmokanie mulata, który stracił już z oczu ciemną głowę swego pana na tle czarnej wody.

Renouard kierował się wielką gwiazdą, która, wisząc nisko nad horyzontem, zdawała się zaglądać mu w twarz ciekawie. Czuł na swych barkach śmiertelne znużenie po przebytej drodze, która go jednak nie zbliżyła do celu jego pragnień. Miłość, zda się, podcięła niewidzialne podpory jego sił. Wydało mu się w pewnej chwili, iż wypłynął poza granice życia.

Miał uczucie, że, wyciągnawszy rękę, bez wysiłku dosięgnie wieczności, kuszącej go swym spokojem.

Z oczami, wlepionymi w gwiazdę, łatwo było tak przepłynąć poza granice życia. Lecz otrząsnął się na myśl, iż mogliby przypuszczać, że nie miał odwagi spojrzeć im w oczy i dlatego popełnił samobójstwo.

Powrócił na statek tak, jak wyruszył: niezauważony przez nikogo. Położył się w hamaku zupełnie wyczerpany, z nieokreślonym uczuciem, że był poza granicami życia, blisko gwiazdy, tam, gdzie panuje wielki spokój.

IX

Małenka zatoka, zasłonięta przysadzistym przylądkiem od pierwszych promieni słońca, odbijających się od morza, oddychała rozkoszną świeżością. Całe towarzystwo wylądowało z żaglowca w dole ogrodu. Rozmowa, utrzymana w tonie obojętnym, toczyła się o rzeczach potocznych. Siostra profesora patrzyła przez szkła na długiej rączce, jakby badając nowe otoczenie, lecz naprawdę rozglądała się niespokojnie, szukając biednego Artura. Widziała go tylko zawsze w miejskim ubraniu, nie wyobrażała więc sobie wcale, jak będzie wyglądał. Profesorowi przypadł w udziale trud dopomagania paniom przy wysiadaniu z łodzi, gdyż Renouard, udając, że ma do wydania rozporządzenia, pośpieszył na spotkanie Luiza, biegnącego wdół po ścieżce. W pewnej odległości, przed domem, oslepiającym w blaskach słońca, stał, nieruchomy, jak straż honorowa, ciemny rząd służących, różniących się między sobą wzrostem i kolorem skóry.

Luiz już zdaleka zdjął filcowy kapelusz. Renouard, pochyliwszy się ku niemu, wysłuchał jego propozycji, co do przygotowania domu na przyjęcie gości: wstawionoby drugie łóżko do pokoju pana i tam będą mieszkać panie: dla profesora możnaby zawiesić hamak w pokoju po drugiej stronie domu, tam — tu obejrzał się szybko dookoła — gdzie pan Walter umarł.

— Dobrze, — przytaknął Renouard, przyciszonym także głosem. — A pamiętasz, co masz o nim mówić?

— Pamiętam, tylko że... — tu się zlekka zawahał i w zakłopotaniu przez chwilę przestępował z jednej bosej nogi na drugą, — tylko, że ja nie lubię tego opowiadać...

Renouard spojrział na niego bez gniewu, obojętnie.

— Boisz się umarłego? Tak? no, to dobrze. Po wiem to sam i przypuszczam, że to już wystarczy.

A potem bardzo głośno zawołał:

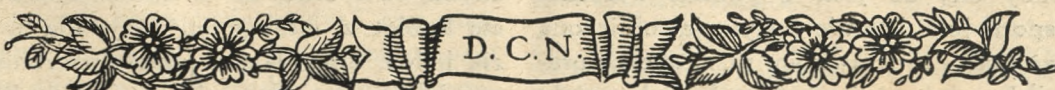
— Poślij chłopców nadół po bagaże.

— Dobrze panie.

Renouard zwrócił się do swych dystyngowanych gości, którzy, jak turyści bez przewodnika, stanęli, rozglądając się dookoła.

— Tak mi przykro, — zaczął ze spokojną twarzą — mój służący powiedział mi właśnie, że pan Walter — (usiłował uśmiechnąć się, lecz mu się to nie udało), — wyjechał na zachód w objazd wysp na handlowym statku.

Wiadomość tę przyjęto głębokim milczeniem.



DEMOKRATYZACJA SPORTU

Rozpoczynający się sezon sportowy przynosi nam z całej Polski wieści radosne. Ze wszystkich stron sygnalizują nam coraz lepsze wyniki, osiągnane nie tylko przez „sportswomen“ stolicy,—tego naturalnego ośrodka poczynań sportowych i rozwoju,—lecz przez liczne zawodniczki szeregu miast prowincjonalnych. Zarazem — wiadomość niemniej radosna — szpalty pism coraz częściej notują rozwój sportu pod względem ilościowym, coraz wyraźniejsze są znaki istotnie dokonywanej się w społeczeństwie naszym demokratyzacji sportów.

Mówimy ciągle, lecz powtórzmy to raz jeszcze, że sport jest nie tylko rozrywką, nie tylko przyjemnością i nie tylko zapychaniem—dość miłym, zresztą—wolnych godzin dnia, aczkolwiek i na tem polega jego atrakcyjność — sport jest i rozrywką i przyjemnością, chociaż nie przedewszystkiem i nie wyłącznie. Sport przynosi człowiekowi olbrzymi pożytek, zwiększając jego ogólną przydatność życiową, daje wielkie korzyści natury zdrowotnej, kształtuje w sposób naogół dodatni jego psychikę, a jednocześnie—bawi. Niewątpliwie dzięki tym właśnie swoim właściwościom, sport posiadał tę wielką popularność, która wielu ludziom, nierozumiejącym istoty sportu, wydaje się dziwną i do przesady doprowadzoną śmiesznością.

Sport już w założeniu swem ideowem,—zarówno z punktu widzenia wpływów na organizm człowieka, jak i z punktu widzenia walki o doskonałość, wyrażającej się w ustanawianiu coraz lepszych wyników rekordów,—obliczony był na wielkie masy. Sport wprowadzony był w celu podniesienia poziomu zdrowotnego właśnie wśród mas najszerzych, a więc przedewszystkiem dla tych, którzy, wskutek wykonywanych prac zawodowych, trwali w bezruchu, zamknięci w dusznych pokojach, pozbawieni słońca i powietrza. Sport miał dać znowu właśnie szerokim masom zdrową rozrywkę. I jeśli rozwój sportów nie poszedł dość szybko naprzód, jeśli szerokie rzesze ludzi pracujących przez czas dość długi odnosiły się do sportu jeśli nie wrogo, to, conajmniej—obojętnie, jeśli o prawa wszystkich ludzi do sportów walczone przez długi czas na łamach wielu pism — zdajemy sobie wszyscy sprawę, że proces demokratyzacji sportu idzie dość powolnie dlatego przedewszystkiem, że na przeszkodzie stoi brak dostatecznych urządzeń, że przez długi czas niedostatecznie silna organizacja sportu nie była w stanie objąć wielkiej liczby młodzieży.

Wydawałoby się, że jeśli z punktu widzenia zdrowotnego sport jest istotnie instytucją, obliczoną na jaknajszersze masy, to w każdym razie sport, uprawiany dla wyników, wymagający od człowieka wielu

systematycznych i ciągłych wysiłków, dostępny jest już tylko dla jednostek wybranych, obdarzonych doskonałemi warunkami fizycznymi, mogącemi pozwolić sobie na długi trening przygotowawczy. Życie zdecydowanie przekreśliło te przypuszczenia. Życie właśnie wykazało, że wielkie wyniki sportowe, rekordy świata w poszczególnych konkurencjach padają właśnie w tych krajach, w których demokratyzacja sportu uczyniła duże postępy, w których uprawie sportów oddają się liczne rzesze młodzieży. Jest to, zresztą, zupełnie zrozumiałe. Wielkie talenty sportowe można wyławiać zpośród dużej liczby ćwiczących, w ogniu jaknajszerszej konkurencji. W walce zawziętej i licznej wysiłek walczących dochodzi do maksimum, udoskonalają się metody pracy, rodzi się tem potężniejsza ambicja zwycięstwa. Zachodzi tu zresztą tak częsty w życiu wypadek wzajemnego wpływania na siebie przyczyny i skutku: jeśli, bowiem, z jednej strony niezaprzeczenie jakość wyników sportowych zależy w prostej linii od liczby uprawiających dany sport osób, od liczby zawodników, stojących na starcie z myślą o zwycięstwie, to z drugiej znowu strony niezaprzeczenie osiągnięte wyniki, sława zwycięstwa, emocja walki, przyciągają do sportu tem liczniejsze zastępy młodzieży.

Na podstawie prowadzonych wyżej rozumowań przychodzimy do wniosku, o którego udowodnienie w założeniu nam chodziło, że warunkiem nieodzownym dla rozwoju sportu jest jego rozpowszechnienie w najszerzych warstwach.

Oczywiście, przy demokratyzacji sportów osiągamy jednocześnie dwa zasadnicze cele: zdobywamy dla idei i praktyki sportu szerokie rzesze w ich własnym interesie, podnosimy poziom zdrowotny mas, a zarazem zdobywamy lepsze warunki współzawodnictwa, w których jakość wyników zależy w linii niemal prostej właśnie od liczby oddających się uprawie sportów, — słowem, zdobywamy lepsze warunki dla windowania w górę wyników sportowych.

Jeśli tedy udowodniliśmy już, jak wielkie znaczenie i dla sportu, i dla samego społeczeństwa posiada idea demokratyzacji sportów, zastanówmy się obecnie nad środkami, do owej demokratyzacji prowadzącymi.

W chwili obecnej najbardziej stosunkowo zajmują się sportami kobiety ze sfer inteligenckich, aczkolwiek i wśród tej kategorii kobiet stopień usportowienia jest wysoce niedostateczny. Nie przesadzimy chyba, twierdząc, że w społeczeństwie polskiem na sto kobiet z inteligencji przypada w najlepszym razie jedna, uprawiająca jakieś ćwiczenia gimnastyczne, czy jakiś sport. Oczywiście, nie mówimy tutaj o tych,

jeszcze postokroć mniej licznych, paniach, które zajmują się sportem dla wyników: tych, bowiem, z trudem doliczylibyśmy się kilkuset na całą Polskę. W kobiecych sferach robotniczych stosunek ten jest jeszcze mniej korzystny: moglibyśmy bez najmniejszej obawy kompromitacji twierdzić, że na tysiąc kobiet, pracujących fizycznie, w najlepszym razie jedna zajmuje się swem kształceniem fizycznym. Nie lepiej jest w świecie kobiet, które nie pracują zarobkowo, zajmują się natomiast gospodarstwem domowym.

Tymczasem właśnie u kobiety racjonalna dbałość o rozwój fizyczny winna stanowić jedną z najważniejszych trosk dnia. Przemawia zatem tysiąc najprzeróżniejszych argumentów. Wymieńmy choćby kilka najważniejszych: dobry stan zdrowia, młody wygląd zewnętrzny, ładna cera, pogodny nastrój, szczupła, elegancka sylwetka, miła rozrywka, intensywność pracy. Nie ulega, bowiem, wątpliwości, że racjonalny ruch na świeżym powietrzu przyczynia się w dużej mierze do pomyślnego stanu zdrowotnego, a samopoczucie siły i zdrowia daje człowiekowi większą zdolność odczuwania radości życia, daje mu więcej odporności w znoszeniu najprzeróżniejszych strapień życiowych.

Pałacem tedy zagadnieniem chwili staje się propaganda wśród szerokich mas kobiecych idei sportów. Lecz nietylko propaganda. Jednocześnie należy stwarzać materialne warunki dla owej demokratyzacji. Nie dosyć jest przekonać kogoś o zbawiennym wpływie ćwiczeń fizycznych na ustrój fizyczny, nerwowy i psychiczny człowieka. Należy umożliwić mu uprawianie tych ćwiczeń.

Musimy, niestety, przyznać, że właśnie warunki materialne dla uprawiania sportów przez kobiety są w najwyższym stopniu niedostateczne. Nie posiadamy ani jednego boiska, na które możnaby skierować niezorganizowane masy, pragnące—poza ramami wszelkich organizacji sportowych—uprawiać ćwiczenia fizyczne. Zresztą, urządzenia klubów sportowych kobiecych są również niewystarczające i nie stwarzają pomyslnych dla przyszłego rozwoju warunków.

Niemal koniecznością dnia stają się tedy postulaty następujące: istniejące kluby sportowe kobiece—celem rozszerzenia swych ram organizacyjnych, celem umożliwienia dużej liczbie swych członkiń uprawiania ćwiczeń,—winny przy pomocy państwa lub gminy uzupełnić, ewentualnie wystawić odpowiednie urządzenia na otwartych boiskach. Oczywiście mówimy tutaj o tych przede wszystkim klubach, które przepojone są duchem demokratycznym, które propagują sporty, dostępne dla niezamożnych sfer, posiadają odpowiednie siły instruktorskie i wykazały się racjonalnością swej pracy.

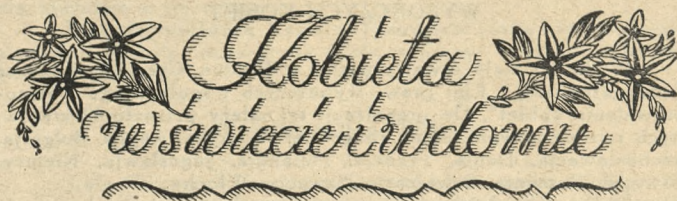
Ponadto, niezbędnym jest urządzenie w większych miastach odpowiednich boisk państwowych, czy miejskich. Urządzenie boiska nie jest rzeczą kosztowną: tereny znajdują się napewno bez trudu. Nowopowsta-

jące Komitety Wojewódzkie i Miejskie Wychowania Fizycznego przede wszystkim sprawę fundowania nowych boisk komunalnych winny wziąć pod baczną uwagę.

Należałoby również postarać się o to, aby już istniejące w poszczególnych miastach tereny sportowe, bądź szkolne, bądź klubowe, udostępnić dla szerszych mas.

Jesteśmy zdania, że położenie podwalin pod stworzenie odpowiednich warunków materialnych dla rozwoju sportu przyczyni się w walnej mierze do jego zdemokratyzowania, przyczyni się zarazem w niedługim przeciągu czasu do dalszego polepszania wyników sportowych.

W-na.



„LIGA UMORALNIENIA KOBIECY“

Werona, piękna ojezyczna nieśmiertelnych kochanków—Romca i Julji — stworzyła organizację, która ma podjąć ostrą walkę z niemoralną współczesną modą kobiecą.

Na czele tej „Ligi“ stanął sam burmistrz miasta, arcybiskup, sekretarz związku faszystów i prezes sądu.

Rozpoczęła się na szeroką skalę propaganda, której rezultatem liczne ofiary na rzecz chwalebnej instytucji — umoralnienia kobiety. Komitet organizacyjny rozpiął konkurs na nowe mody kobiece.

Panny, które mają ochotę zapisywać się do „Ligi“, zobowiązują się nosić długie sukienki, zapuszczać włosy, nie malować ust, policzków, brwi, nie tańczyć Charlestona itd. itd.

Jeśli tęka „umoralniona“ panna otrzyma na konkursie pierwszą nagrodę — (przewidziana jest druga, trzecia, czwarta i piąta) przypadnie jej w udziale cała wyprawa, urządzenie sypialni i 5000 lirów gotówką na podróż poślubną...

„Komitet Umoralnienia“... przeoczył, zdaje się, tylko ten fakt, że do podróży poślubnej potrzebny jest... mąż.

Niewiadomo, jednak, czy wybranka „Ligi“—znajdzie amatora wśród mężczyzn współczesnych, amatora, któryby pokochał ją, a nie piękną wyprawę, urządzenie mieszkania i owe 5.000 lirów!

JAK TO BYŁO DAWNIEJ...

W roku 1770 parlament paryski wydał edykt następujący:

„Jeżeli którakolwiek kobieta zmusi do małżeństwa jakiego obywatela, poddanego Jego Królewskiej Mości, nęcąc go zapomocą różu, blanszu, sztucznych zębów, lub włosów, albo wysokimi obcasami, czy też „sztucznymi“ biodrami — zostanie „oskarżona o guślarstwo, a małżeństwo takie uważane być może za nieistniejące...“

MIĘDZYKONKRESOWY KONGRES PRZEDSTAWICIELI KOMITETÓW WALKI Z HANDLEM ŻYWYM TOWAREM

Przy końcu bieżącego miesiąca (dnia 28 czerwca) odbędzie się w Londynie międzynarodowy zjazd komitetów walki z handlem kobietami i dziećmi.

Z Polski wyrusza na zjazd dr. Witold Chodźko, jako delegat rządu polskiego, poseł Holder-Eggerowa, wiceprezes polskiego komitetu do walki z handlem kobietami i dziećmi, oraz p. Silbermintzowa, przedstawicielka żydowskiego T-wa ochrony kobiet.

„MISS AMERKIA“ ZWYCIĘŻYŁA

Donosiliśmy swego czasu o zamierzonym międzynarodowym konkursie kobiecej piękności, który odbył się już w Halvestonie (Ameryka).

W turnieju wzięło udział 38 przedstawicielek najpiękniejszych kobiet wszystkich narodowości. Pierwszą nagrodę otrzymała Amerykanka, miss Dorotea Brayton. Od dziś szczęśliwa wybranka losu będzie nosiła tytuł „najpiękniejszej kobiety świata“..., pozatem życie jej przeistoczy się, zapewne, w barwną bajkę.

JESZCZE JEDEN KROK NAPRZÓD

Kobiety w Anglii po ukończeniu szkoły awiacyjnej mogą być pilotami zawodowymi.

Przed paru tygodniami zarząd „Civil Aviation“ pozwolił wydawać pilotkom zezwolenie na obsługiwanie aparatów pasażerskich i przewóz pasażerów na tych samych warunkach, na jakich funkcje te pełnią mężczyźni-piloci. H. S.

PRZEWODNICZĄCA MIĘDZYNARODOWEJ LIGI PRAW WYBORCZYCH KOBIEC

W dn. 25 maja otwarty został w Pradze Czeskiej Kongres Międzynarodowej „Ligi praw wyborczych i społecznego równouprawnienia kobiet“. Do organizacji tej należy przeszło 40 krajów, z tych reprezentowane są na kongresie: Ameryka, Anglia, Bułgaria, Czechosłowacja, Danja, Francja, Holandia, Jugosławia, Niemcy, Norwegia, Rumunia, Szwajcaria, Szwecja, Włochy.

Stolica Czechosłowacji zorganizowała dla gości przyjęcie niezwykle uroczyste i serdeczne. Członkinie kongresu przyjmowane są przez Prezydenta Republiki, rząd, z prezesem ministrów na czele, i władze miejskie. Niema końca bankietom i uroczystościom poza oficjalnymi pracami zjazdu.

Przewodniczący kongresowi prezeska „Ligi“, Angielka Mrs. Corbett Ashby. Jest to tak wybitna i niezwykle postać, iż warto jej słów kilka poświęcić.

Kiedy przed czterema laty pani Margery Corbett Ashby została na miejsce pani Carric Chapman Catt powołana na najwyższe—w przodującej w ruchu międzynarodowym organizacji kobiecej—stanowisko: na przewodniczącą „Międzynarodowej Ligi praw wyborczych kobiet“—wybór ten przyjęto z wielkim niedowierzaniem.

Po starej, wytrawnej pionierce ruchu kobiecego, wielkim rozumem, taktem i zdolnościami dyplomatycznymi przechodzącej niejednego wybitnego polityka, znanej całemu światu z niezłomowanej energii i przedziwnego, władczygo daru ujmowania i podporządkowywania wszystkich swym zamierzeniom; po szanowanej i uznanej nie tylko przez jednostki, lecz przez rządy państw—pani Chapman Catt,—miała zająć jej miejsce młodzieńca — jak na to stanowisko—niespełna trzydziestoletnia kobieta, o dziewczęcym prawie wyglądzie, stanowczo za młoda, za ładna, za elegancka i na terenie międzynarodowym zbyt mało dotychczas znana.

Wątpliwości były duże, ale rozproszyły się bardzo szybko. Młoda przewodnicząca okazała się w zupełności godną swej wielkiej poprzedniczki.

Z umysłem głębokim, z bystrą, dzielną inteligencją swej rasy łączy pani Corbett Ashby solidne, wysokie wykształcenie, świetny talent organizacyjny, zmysł szybkiej i trafnej orientacji politycznej, a przytem tak czarujące obejście, tyle osobistego wdzięku, że wszelkie przeszkody i trudności ustępują z linii jej działalności, jak zaczarowane. Zasadniczo mało skłonna do sentymentalizmu i poetyckich przenośni kobiety, wyrobione na arenie międzynarodowych utarczek politycznych i społecznych, nazywają jednak ogólnie Margery Ashby „dobrą wróżką“.

Panna Margery Corbett przyszła na świat, jak sama żartobliwie się wyraża, jako sufrażetka. Jest ona córką pośladka do Izby gmin, członka stronnictwa liberalnego, i jednej z najdzielniejszych pionierki ruchu kobiecego w Anglii. Skończyła kolegium w Newham i studja uniwersyteckie w Cambridge, biorąc już, jako studentka, żywy udział w agitacji o prawa wyborcze dla kobiet, razem ze swą matką. W r. 1918, gdy parlament uchwalił zasadniczo te prawa, mocno zresztą ograniczone, panna Corbett, wówczas już pani Ashby, została jedną z kandydatek stronnictwa liberalnego. Przy wyborach nie przeszła, jako posłanka, dano jej bowiem okręg zupełnie stracony, stawiając tę kandydaturę, jako manifestacyjną jedynie. Podczas kampanji wyborczej jednak pani Ashby zaznała się tak wybitnie, jej mowy kandydackie, oparte na gruntownej wiedzy ekonomiczno-politycznej, stały się tak głośne, a świetny dar polemiki w krzyżowym ogniu dyskusji tak porywający, że stała się bardzo głośną współzawodniczką dla swych politycznych

przeciwników, a tematem prawdziwego zdumienia swych przyjaciół politycznych, niedoceniających do tej pory jej zdolności.

Szybko jednak zwrócił na młodą działaczkę uwagę rząd angielski, i podczas okupacji Nadrenji pani Ashby została wysłana do Kolonii, na inspekcję funkcjonującej tam policji żeńskiej. Podczas swego tam pobytu umiała zaskarbić sobie ogólną sympatię — jest bowiem — pomimo swego patriotyzmu — gorącą rzeczniczką pokoju i braterstwa narodów. Wczynie rokowań pokojowych znajdowała się w Paryżu, gdzie przedłożyła Wilsonowi postulaty kobiet w sprawie organizacji Ligi Narodów.

Obecnie, na krótko przed wyjazdem do Pragi, została pani Corbett Ashby wybrana przewodniczącą Koła kobiet liberalnych, jednego z najpoważniejszych stronnictw politycznych kobiecych w Anglii.

Cała ta intensywna działalność polityczna i społeczna nie przeszkadza pani Ashby w wypełnianiu obowiązków rodzinnych. Rozłączona w pierwszych latach małżeństwa z mężem, który, jako kapitan armii angielskiej, walczył pod Ypres i pod Verdun, z rozkoszą oddała się po skończonej wojnie szczęściu domowego ogniska. Pomimo rozlicznych zajęć znajduje zawsze czas na długie spacery z mężem i synem, dziś już jedenastoletnim chłopcem, z uwielbieniem spoglądającym na matkę. Prowadzi dom na dużą skalę, mając obowiązki reprezentacyjne podwójne, gdyż związane ze stanowiskiem swoim i męża, obecnie wybitnego adwokata, i ma nawet — o dziwo! — czas na... robotki kobiece. Lubi zwłaszcza sztydelko, które, jak twierdzi, dopomaga znakomicie do skupienia myśli i uspokojenia nerwów.

Dzielna przewodnicząca „Ligi praw kobiecych“ jest ucieleśnionym, żywym przykładem teorii, że kobieta może pogodzić życie publiczne z rodzinnem i podołać nie jednemu, lecz wielu obowiązkom. N. J.

ZNOWU „WUNDERKIND“...

Ameryka ma swego Jackie Coogena, który wyrasta zresztą tak prędko, że przestaje już być „cudownym dzieckiem“. Zato Japonia może się pochwalić „wschodzącą gwiazdą“ filmową, w osobie malutkiej i ślicznej Shikishima.

Shikishima ma dopiero lat 10, lecz jej talent mimiczny i nieprzeciętna inteligencja wprowadza wszystkich w formalny podziw. Posiada przytem klasyczną urodę japonki.

Jej ostatnim sukcesem była rola sprzedawczyni ulicznej.

Przedstawiciele Holly-Wood (Ameryka) zaprosili młodocianą artystkę do wytwórni amerykańskiej, wyznaczając jej wysokie honorarium, lecz kiedy przyszło do spisania kontraktu, Shikishima rozplakała się rzewnie i oświadczyła kategorycznie, że za nic na świecie nie opuści Japonji i nie dba ani o sukcesy, ani o fortunę zagranicą.

Będzie przez całe życie grała w Japonji, i tylko, a jeżeli będą ją zmuszali i namawiali do występów poza granicami ukochanej ojczyzny, to przestanie zupełnie popisywać się na ekranie. Pozostawiono więc, tymczasem, dziecinną artystkę w spokoju, przypuszczając, że gdy zmądrzeje i trochę dorośnie, to sama będzie się „wyrywała“ do Ameryki.

KRÓLOWA ELŻBIETA Z WIZYTĄ U MATKI TRAGICZNIE ZAGINIONEGO LOTNIKA

W bocznej i cichej uliczce, niedaleko „Place de Republique“ w Paryżu, na 4-tem piętrze, w skromnym dwu pokojowym mieszkanku — żyje wciąż w męczącym oczekiwaniu matka znanego lotnika francuskiego Nungessera, zaginionego tak tragicznie podczas lotu transatlantyckiego. Staruszka ta — jest najniezwyklejszą w tej chwili kobietą w Paryżu! Pokornie spokojna i pełna rezygnacji, miewa chwilami momenty, gdy słaby promień nadziei wciska się do jej zbolałego serca, — wówczas każdemu, kto ją odwiedza, powtarza najdrobniejsze szczegóły ostatnich dni przed wyruszeniem w tak daleką podróż syna swego.

Prowadzi gościa do malutkiego pokoiku, gdzie — niby w muzeum — zebrane są wszystkie fotografie Karola Nungessera — od lat dziecinnych — aż do wspaniałej rzeźby: marmurowego biustu lotnika, wykonanego przez znanego rzeźbiarza Alfonsa Bertelota. Opowiada też o tym ostatnim wieczorze, gdy zasiedli we dwójkę do skromnej wieczerzy, i gdy tknięta nagle bolesnym niepokojem, zwróciła się do syna: „Drogi mój! nie pokazałeś mi nigdy samolotu, na którym masz ruszyć w daleką podróż. Gdybym obejrzała sama tę maszynę, możebym była spokojniejszą!... „Dobrze, Mamol pokażę ci ją chętnie, ale nie teraz... po powrocie!“

— To niemożliwe, żeby Karolek zaginął, zaginął bez wieści. On żyje! tylko nie może nam dać znać o sobie!“ — wybucha zrozpaczona matka,

M-me Nungesser otaczana jest niezwykłą sympatją i życzliwością rodaków.

Do skromnego jej apartamenciku napływają wciąż listy i depesze kondolacyjne; przed zwyczajną, koszarową kamienicę przystają auta i powozy, po schodach na czwarte piętro codziennie niesie ktoś kwiaty. W ostatnich dniach maja smutną tę kobietę odwiedziła incognito królowa belgijska.

Bez świty, z zachowaniem tajemnicy, w towarzystwie jednej tylko swej damy dworu, hr. van der Steen, przybyła królowa Elżbieta specjalnie do Paryża i stanęła w hotelu „Neurice”. Następnego dnia przed południem posłała królowa kartkę do M-me Nungesser z zapytaniem, czy może ją przyjąć matka bohatera.

Skromna francuzka odpowiedziała, — że będzie czekała z niecierpliwością tak dostojnego gościa, pomiędzy godz. 5-ą, a 7-ą u siebie.

Tegoż dnia królowa belgijska udała się sama w odwiedzinach z zachowaniem najściślejszego incognito. Zadyszana mocno, zapukała nieśmiało do drzwi na 4-tem piętrze. Kobiety spojrzęły na siebie — uściślały się... drzwi się zamknęły.

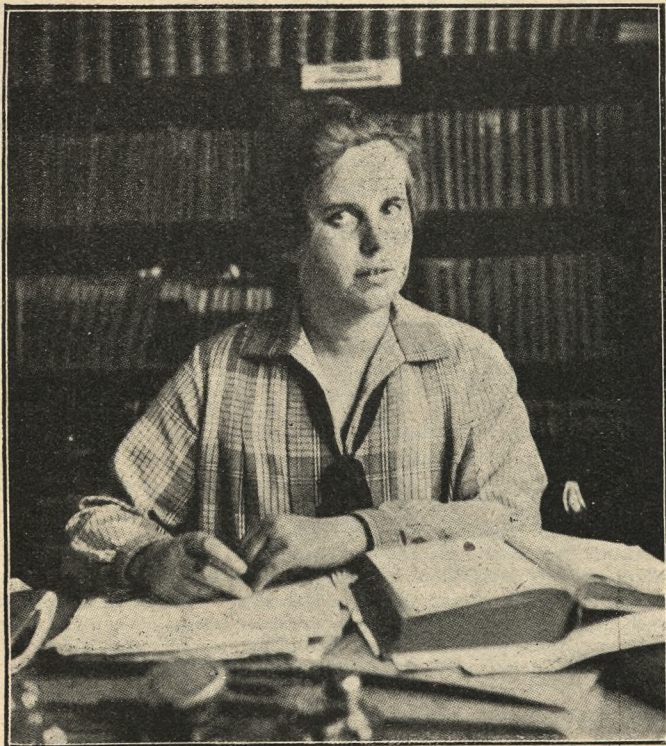
Po upływie godziny dobra królowa, z zapłakanymi mocno oczyma, opuściła skromne progi osieroconej matki i tegoż dnia powróciła tak samo incognito do Brukselli.

Zapytywana przez szereg osób o przebieg tej szaczonej wizyty, M-me Nungesser, nie mogąc już panować nad wzruszeniem, opowiedziała, że królowa belgijska знаła bardzo dobrze jej syna. Podczas wojny europejskiej spotykała go niejednokrotnie i rozmawiała z nim często. Ofiarowała też matce fotografię amatorską, na której znakomity lotnik sfotografowany jest razem z królową na jednym lotnisku, niedaleko domu, gdzie para królewska mieszkała podczas wojny. „Cóż to za dobra kobieta! taka wielka królowa, a tak pełna prostoty i serca! nie zapomnę tej wizyty nigdy!” opowiada swym sąsiadkom mała, siwiutka i samotna staruszka.

PIERWSZA KOBIETA NA STANOWISKU SĘDZIEGO

W sądownictwie niemieckim zaszedł fakt, bardzo dla ruchu kobiecego ważny: Przed paru tygodniami dr. praw Marja Hagemayer z Kolonji, dotychczasowa urzędniczka w pruskim ministerstwie sprawiedliwości, mianowana została sędzią pokoju.

Jest to pierwszy sędzia-kobieta w Niemczech, pomimo, że już w r. 1922 parlament przyznał kobietom prawo do wszelkich placówek w sądownictwie. Jest to nawet pierwsza kobieta w sądownictwie europejskim wogóle, za wyjątkiem Krymu, gdzie także niedawno mianowano na posadę sędziowską tatarkę, mahometankę, która w krótkim czasie zyskała sobie taki rozgłos, jako



Panna dr. Marta Hagemayer z Kolonji, pierwsza kobieta na stanowisku sędziego w Niemczech

advokatka, że ludność sama dopominała się o posiadanie jej na stanowisku sędziego.

Dr. Marja Hagemayer, urodzona w 1896 r. w Kolonji, skończyła wydział prawny w Bonn, w r. 1922 zdała doktorat, a w 1924 egzamin asesorski i otrzymała posadę w ministerstwie sprawiedliwości w Berlinie. Wolałaby, jak twierdzi, pracować w rodzinnej Nadrenji — nie było tam, jednak, wakujących miejsc. Na urządzenie swym poświęcała się specjalnie zagadnieniom w zakresie prawa rodzinnego, niemieckiego i międzynarodowego. N. J.

NOWA ŻONA KEMALA - PASZY

Niezwykłą sensację w całej Turcji wywołuje zapowiedź na najbliższe dnię ślubu Mustafy Kemala - Paszy z 17 letnią uroczą tureczką Aiszą Djemacz.

Podczas wizytacji jednej ze szkół żeńskich w Brussie, dyktator Turcji zwrócił swą łaskawą uwagę na jedną urodziwą i wyjątkowo zdolną uczenicę, która zadziwiła obecnych śmiało i rozzumnie odpowiedziami. Po powrocie do stolicy, Kemal - Pasza wyznaczył młodziutkiej panience stypendjum na dalszy ciąg studjów zagranicą.

Dziewczyna chciała się udać do Londynu i w celu załatwienia uciążliwych formalności paszportowych przybyła do Angory. W stolicy spotkała raz jeszcze dyktatora i podziękowała mu serdecznie za wyróżnienie jej, — lecz oto niekoronowany władca Turcji tak bardzo zachwyił się mądrą i dobrze ułożoną pensjonarką, że nie dopuścił do wyjazdu zagranicę i... oświadczył się oficjalnie o jej rękę.

Przyszła małżonka Kemala - Paszy jest córką bardzo ubogich ziemian i pędziła dotychczas życie w pracy i wśród otoczenia pełnego prostoty.

TAKŻE BOHATERKA!!

Całe Chicago poruszone jest ujęciem przez policję niezwykłej bandytki, która z całą swą szajką, złożoną z 12 chłopców i 3 dziewcząt, terroryzowała miasto przez szereg miesięcy, napadając z niesłychaną brawurą na banki, sklepy, a nawet przechodniów na przedmieściach.

Bandytka liczy sobie zaledwie 17 wiosen, pochodzi z rodziny zamożnej, otrzymała porządne wykształcenie, nazywa się Mery Glyn.

Policja chicagoska długo wycężała energję, zanim udało się jej schwycić sprytną przestępczynię.

Akt oskarżenia zarzuca bandytkę 247 dokonanych napadów i pięć morderstw.

Szajka Mery Glyn składa się z wyrostków i dzieci, trzymany przez bandytkę w niezwykłej karności i posłuszeństwie.

Za całą tę bandę odpowiada przed sądem sama jej przywódczyni i płacze się w zeznaniach. Na zapytanie, w jakim celu grabiła, napadała, a nawet mordowała? — odpowiada z naiwnością dziecka:

— Smutno i nudno mi było w domu. Odkąd siebie pamiętam, wyrwaliśmy się do jakichś czynów bohaterskich; starsi bracia przechwalali się wciąż swymi przygodami na placu boju z czasów wojny europejskiej.

Chciałam im dowieść, jak jestem odważna, wytrzymała i mocna. Szkoda, że urodziłam się dziewczyną.

Zrabowane pieniądze i rzeczy — oddawaliśmy zaraz nędzarzom, z którymi jesteśmy bardzo zaprzyjaźnieni, — dla siebie pozostawialiśmy tylko tyle, aby nie być głodnymi i nagimi. Oni, moi podwładni, nic nie są winni: — ja ponoszę całą odpowiedzialność za nasze występki. Sądźcie mnie!”

H. S.

ZJAZD B. WYCHOWANEK PENSIJI P. ANIELI HOENE-PRZESMYCKIEJ

W niedzielę, dnia 12-go czerwca, odbył się zjazd b. wychowanek pensji pani Anieli Hoene-Przesmyckiej. Niezwykle licznie stawiły się rozproszone po świecie dawne uczennice, dla uczczenia niespożytych zasług przeznaczonej Przełożonej, której uczelnia, gromadząc przez długi szereg lat córki rodzin ziemiańskich, przeważnie z Ukrainy, Wołynia, oraz sfer inteligencji naszego grodu — szczepiła im wysoką kulturę duchową i szczytne ideały narodowo-społeczne.

Zjazd rozpoczął się odprawieniem Mszy Św. w kościele pp. Wizytek, poczem zgromadzone w lokalu szkolnym były wychowanki, po wręczeniu teki z podpisami i daru jubileuszowego, w szeregu przemówień złożyły hołd swej Przełożonej.

Dla uczczenia zasług Przełożonej, oraz upamiętnienia pierwszego Zjazdu, zawiązane zostało koło b. wychowanek pensji A. Hoene-Przesmyckiej — w celu zachowania łączności ideowej, społecznej i materialnej.

W serdecznym, podniosłym nastroju zebranie przeciągnęło się do późnego wieczora, uświetnione artystyczną grą byłej wychowanki — znanej pianistki p. Lucyny Robowskiej. — Dzień ten wzmocnił serdeczne węzły koleżeńskie i zapadł głęboko na dno serc i myśli.

POLSKIE STOWARZYSZENIE MŁODYCH KOBIEC

Do najżywniejszych stowarzyszeń kobiecych należy bezwzględnie Polskie Stowarzyszenie Młodych Kobiet (P. S. M. K.), które prowadzi swą działalność w dwu kierunkach. Głównym jego celem jest doskonalenie moralne, umysłowe i fizyczne młodych kobiet, pracujących w różnych zawodach, a więc uczenie szkół powszechnych, średnich i zawodowych, ekspedjentek, krawcowych, hafciarek, modystek, urzędniczek i t. p. Aby oddziaływać na kobiety, Stowarzyszenie zakłada tak zwane „Kluby Błękitne”, ściśle mówiąc, łączy w grupy kobiety, zbliżone wiekiem i zajęciem, a co zatem idzie zainteresowaniami i poziomem umysłowym. Grupy te zbierają się raz, lub dwa razy na tydzień w jednym z lokali Stowarzyszenia, przeważnie przy ul. Szarej, i tu pracują nad sobą pod przewodnictwem kierowniczk.

Mimo ogromnego wpływu, jaki ma kierowniczka na powierzoną sobie grupę, dążeniem Stowarzyszenia jest, aby grupy zachowywały samorząd w organizacji i jaknajwiększą samodzielność w pracy nad sobą. Muszą więc z pomiędzy siebie wybierać zarząd, składający się z przewodniczącej, vice-przewodniczącej, sekretarki i skarbniczki; muszą obradować nad sprawami swojej grupy i rozstrzygać je same, przez co zaprawiają się do życia społecznego, uczą się samodzielnie myśleć, mówić i działać. Kierowniczka powinna tylko umiejętnie służyć im radą i pomocą. Program pracy w grupach obejmuje cztery kierunki: moralny, umysłowy, fizyczny i społeczny. W połowie czerwca Stowarzyszenie otwiera letnisko „Błękit” w Rybieniu nad Bugiem, koło Wyszkowa, gdzie za opłatą 21 zł. tygodniowo kobiety pracujące — od lat 14 do 35 (nie tylko członkinie Stowarzyszenia) mogą znaleźć odpoczynek po pracy w doskonałych warunkach higienicznych; muszą jednak poddać się pewnemu regulaminowi, mającemu na celu ich rozwój fizyczny. Wstają więc o godzinie 7-ej rano, gimnastykują się, bawią w gry sportowe, odbywają dalekie wycieczki i kąpią się w Bugu. Naturalnie przed wyjazdem każda musi się poddać oględzinom lekarskim, które odbywają się w środy i piątki od 8 — 10 wieczorem, przy ul. Szarej, i lekarz normuje ilość i jakość ćwiczeń fizycznych, których letniczka może używać. Osoby chore zaraźliwie nie są na letnisko przyjmowane. Na letnisku odbywają się też pogadanki, śpiewy chóralne, przedstawienia amatorskie i t. p. rozrywki, umilające czas i podnoszące ducha.

Na przełomie między pracą klubową Stowarzyszenia, a drugą częścią jego działalności, to jest opieką nad emigrantami, stoi praca biura pomocy indywidualnej. Polega ona na wyszukiwaniu posad, udzielaniu bezpłatnych obiadów, odzieży, narzędzi pracy, zasiłków pieniężnych, umieszczeniu w szpitalach, przytułkach i t. p. przedewszystkiem członkini klubu i ich rodzin, następnie emigrantów, a w ostateczności wszelkiej biedy, która nigdzie nie może znaleźć pomocy. Brak środków materialnych nie pozwolił na bardzo szeroki rozwój tego działu, ale jednak Stowarzyszenie i tu osiągnęło stosunkowo dosyć znaczne rezultaty.

W dziale opieki nad emigrantami Stowarzyszenie idzie przeważnie ręką w rękę z Urzędem Emigracyjnym, który udziela mu funduszów, a wzamian zato Stowarzyszenie rozciąga przez swoich ludzi opiekę nad wychodźcami. Założyło więc dla nich hotelik przy ul. Marszałkowskiej 74 m. 17, gdzie za niewielką opłatą znajdują mieszkanie, na żądanie jedzenie i fachową poradę. Kierowniczka hoteliku załatwia im nieraz sprawy paszportowe i wizowe, towarzyszy do doktora, odprowadza na kolej, kupuje bilety i t. p. Specjalną opiekę rozciąga nad dziećmi, jadącymi do rodziców, którzy są na robotach we Francji, czy innym kraju europejskim, a często nawet w Ameryce; wyszukuje więc dla nich godnych zaufania opiekunów w podróży, wyrabia papiery, załatwia korespondencję z rodzinami i t. p. Podobne czynności spełniają delegatki Stowarzyszenia przy etapach emigracyjnych w Wejherowie i w Mysłowicach. Prowadzi też Stowarzyszenie tanią kuchnię dla emigrantów przy ul. Królewskiej 23, w suterenie, udzielonej przez Urząd Emigracyjny. Kierowniczka tej kuchni również udziela emigrantom informacji.

Oto czem P. S. M. K. służy społeczeństwu, — a czego odeń potrzebuje?

Przedewszystkiem, pomocy materialnej, a następnie nowych członkini — czy z pomiędzy kobiet starszych, któreby mogły pracować w Zarządzie, zbierając składki i organizując imprezy dochodowe, czy z pomiędzy młodszych, które, jako wolontariuszki, podjęłyby się kierowania grupami, pomocą w ich kierowaniu, pomocą na letnisku, czy w jakim innym dziale pracy P. S. M. K. B. W.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pani N. Ch. w Sosnowcu. Za przemiły list Szan. Pani serdecznie dziękuję i z radością służę wszelkimi informacjami w sprawie pracowni psychotechnicznej. Otóż, mieści się ona, jak zaznaczałam w artykule, przy ul. Hożej 27, i jest oddziałem sekcji Higjeny Szkolnej. Ważna ta placówka została zapoczątkowana w roku 1925 z inicjatywy dr. Roszkowskiego. Kierownikiem jej jest obecnie dr. Jaroszyński, zastępczynią zaś jego — dr. Maleszewska.

Badania, przeprowadzane w pracowni psychotechnicznej, przechodzą przez trzy etapy: Najpierw badany wypełnia kwestionariusz osobisty, który zawiera pytania, dotyczące się jego zainteresowań, oraz planów na przyszłość; następnie podlega szczegółowemu badaniu lekarskiemu, które ma, oczywiście, ścisły związek z projektami przyszłej pracy danej jednostki. I tak np. przy skłonnościach do chorób płucnych odpowiednie jest zajęcie, w świeżem powietrzu; przy drzeniu rąk niemożliwe jest zajęcie, wymagające precyzyjnego wykonania i t. d.

Trzecim dopiero etapem jest właściwe badanie psychologiczne. Chodzi tu przedewszystkiem o wykrycie pewnych uzdolnień, które nakreślają linje wytyczne przy obieraniu zawodu. Te badania z kolei również dzielimy na 3 grupy: 1) określenie stopnia inteligencji, 2) badania sfery ruchowej, oraz 3) zdolności technicznych.

Badanie inteligencji odbywa się przy pomocy tak zwanych testów, czyli pewnego rodzaju zadań, pytań i odpowiedzi. Przy badaniach zmysłów zwraca się specjalną uwagę na ostrość wzroku, słuchu, wrażliwość dotyku. Badania sfery ruchów i zdolności technicznych notują szybkość ruchów, ich precyzję, zręczność, zmęczenie, szybkość reakcji i t. d.

Rezultat ogólny zestawia się z charakterystykami poszczególnych zawodów i wyciąga się wnioski, do jakiego rodzaju pracy dana jednostka się nadaje. Jest to, oczywiście, o tyle nieomyślne, o ile nieomyślnym człowiek być może.

Pracownia psychotechniczna, zajęta specjalnie badaniami młodzieży ze szkół powszechnych, tylko jeden dzień w tygodniu, mian. piątek przed południem, poświęca na wizyty osób prywatnych. Porada kosztuje 5 zł. Oprócz wyżej wymienionej pracowni psychotechnicznej, znajduje się w Warszawie jeszcze kilka tego typu, jak np. przy Tow. Eugenicznem.

Pani Ew. B. Wiersze do druku nie nadają: temat ograny, forma nie przynosi nic nowego.

J. St. Chełm. Ani „Ciemność straszliwa“, ani „Zatrute tchnienia“, ani „Męka“ i „Sztamowe róże“ — nie wychodzą poza zakres banalności. Drukować nie możemy.

„Stałej prenumeratorce“. Bardzo nam przykro, ale nie możemy dopatrzeć się w wierszach Pani czegoś, coby upoważniało do ich drukowania. Zadużo Pani używa „jutrzni“, „kryształów“, przysłowiowego już dziś „hen“, „płomienia w oku“ itd. itd. Wszystko to nie zostawia miejsca na żywe słowo. Myśli bardzo piękne, tendencje szlachetne, ale nie można się przecież wzorować na przedwczorajszej przeciętności.

B. Szez. Wiersz musi być młody, chyba jeden z pierwszych? Szczęściem wychodzi poza ogólniki. Widoczna tendencja do skupienia się w jednym momencie. „Rekonwalescencji“ drukować nie możemy, (wiersze ulegają specjalnie starannemu przesiewaniu) — ale może w przyszłości uda się Pani znaleźć wyraźniejsze, własne słowo. Tylko koniecznie — czytać!

Pani J. Jar. Zdolności są — duże. Czemu Pani jednakże chodzi ciągle w pętach dawniejszej poezji? Trzeba się też wzbyć pokusy zbyt łatwego rymowania. Dać spokój „niciom“, „wrzecionom“: strasznie to już oklepane przenośnie.

I niekoniecznie trzeba się trzymać ludowej melodii — którą właśnie tak często dawała Konopnicka. W tym kierunku poszukać nowych dróg. Ze wszystkiego najlepszy jest „Józio“. Przypuszczalnie będzie drukowany w „Dziecku i Matce“. Odcina od innych świeżością. Trochę psuje wrażenie łatwa, na samym wierzchu leżąca, tendencja. Mam wrażenie, że bardzo dobrzeby Pani zrobiło uważne czytanie nowych, młodych talentów.

* * *

W dziale tym będą zamieszczane odpowiedzi na listy, nieopatrzone znaczkiem na odpowiedź. Drobnych rękopisów się nie zwraca.

O KINIE

Ciekawy widok przedstawia wielka wytwórnia filmowa amerykańska. Jest to pod względem obszaru i zaludnienia zupełnie spore miasteczko. Przez wielką bramę, strzeżoną przez specjalną policję wytwórni, dostajemy się na jej tereny. Najpierw, gmachy biurowe: z pokojami urzędników, z gabinetami szefów, salami posiedzeń, kasami, restauracjami i, Bóg wie, nie z czem. Dalej — gmachy rekwizytów.

To nie skład rupieci: raczej muzeum historyczne. Całe sale przeróżnych strojów, kobiecych i męskich, ze wszystkich epok — od Egiptu i Grecji przez średniowiecze, aż do rokoko. Mundury wojskowe, suknie balowe, stroje magnatów i ludu. Cały magazyn broni z różnych czasów, wreszcie ogromny skład mebli. Kopje i oryginały, którychby się nie powstydzil nie jeden zbiór państwowy. Wytworne salony Ludwików, meble staroangielskie, flamandzkie; sypialnie, jadalnie, gabinety. Całe mnóstwo współczesnych mebli: szaf, parawanów, stołów, kanap, foteli. Starczyłoby na niejeden dom mieszkalny. A są jeszcze magazyny żyrandoli, lamp, świeczników, zegarów, obrazów, instrumentów muzycznych, w szczególności fortepianów. Dywany, kołnierze, makaty zajmują oddzielny pawilon.

Wszystko, co może być potrzebne do urządzenia jakiegokolwiek wnętrza, jest pod ręką w składzie za numerem katalogu. Są rzeczy, przywiezione z Europy, kopje i wyroby własnych warsztatów. Stolarnie, tapicernie, kuźnie, niezliczone w jakości wytwórnie przedmiotów, mogących być potrzebne. Tu się fabrykuje karoce francuskie, tu znów rzymskie kwadrygi, czy dyliżanse z połowy XIX wieku. Pamiętajmy, jak starannie są wystawione filmy historyczne i współczesne, gdy chodzi o dekoracje, Europa dostarcza wzorów, Ameryka je wykonywa. Ponieważ nie niszczy się od razu po stworzeniu filmu dekoracji i rekwizytów, bo mogą się przydać przy jakimś przyszłym obrazie, więc muzea, że je tak nazwę, coraz się powiększają. Wiele zabytków starej ziemi ma świetne kopje właśnie po wytwórniach amerykańskich filmów.

W dalszym ciągu mamy znów ogromne oszkłone pracownie malarskie, gdzie się przygotowują wnętrza i różne fragmenty. Z wnętrzami współczesnymi jest mniej kłopotu, ale historyczne, albo wogóle znane gmachy europejskie! Do filmu „Dzwonnik z Notre Dame,” zbudowano fasadę katedry paryskiej; toż samo zrobiono z fasadą wielkiej opery. Zresztą i we Francji do zdjęć „Gracza w Szachy” wybudowano cały front pałacu zimowego w Petersburgu. Z desek, oklejonych malowaniem płótnem, częściowo z gipsu, cegły, na żelazobetonowym szkielecie. Wygląd z frontu zupełnie prawdziwy, cóż, kiedy to tylko jedna ściana. Do filmu „Świat bez kobiet” zbudowano doskonałą kopję sali gry w Monte Carlo. To są bardziej znane i monumentalne przykłady. Oczywiście, że taką katedrę paryską ustawiono na ogromnym, pustym placu, a potem „obudowano” plac odpowiednimi domami. Puste tereny pod dekoracje „przestrzenne” zajmują lwią część powierzchni wytwórni. Ustawiają się tam nieraz całe dzielnice, jak na przykład stary Paryż do filmu „Dwie sieroty”: uliczki i gmachy kopjowano ze starych zdjęć. Układano specjalny bruk, taki, jak był tam wtedy. Dekoracje te stoją nieraz bardzo długo i przedstawiają dziwne wrażenie umarłych masek miasta.

Mieliśmy więc biura i pracownie architektów, malarzy i rzeźbiarzy. Dorzucmy jeszcze zakłady kra-

wieckie, perukarskie, szewskie. Tysiące ludzi jest tam zatrudnionych, miliony płyną, jak woda. Przejdźmy do hal potwornie wielkich, gdzie się montuje dekoracje do zdjęć. Hal takich bywa kilka, lub kilkanaście. Ponieważ wytwórnie przygotowują zwykle od razu parę obrazów, w każdej hali wykonywują zdjęcia do innego filmu. Maszynerje, przypominające teatralną scenę, dźwigi, windy, zapadnie. W jednej z hal będą baseny z wodą, inne są położone nazewnątrz. W tych balach powstają przepyszne sale wschodnich pałaców, europejskich królewskich zamków, czy siedzib milionerów. Tam, w świetle lamp błyskawicznych, powstają arcydzieła, podziwiane przez cały świat.

Teraz — aktorzy. Wielcy — mają swoje oddzielne Studjo, gdzie się ćwiczą, własne małe pracownie, garderoby, — są to oddzielnie stojące budynki. Pomniejsi — mają wielki wspólny rodzaj hotelu z galerjami, gdzie się przebierają, charakteryzują, przygotowują do występów. A ponieważ zwrócona jest szczególna uwaga na rozwój fizyczny, istnieją specjalne sale do gimnastyki, tańca, maneż do konnej jazdy, baseny do pływania.

Uzupełnijmy obraz szpitalem, apteką i pogotowiem, gdyż w tym tłumie pracowników nietrudno o wypadek, czy chorobę. Dodajmy parę orkiestr, przygrywających do scen nastrojowych, do wojskowych parad, do scen balowych. Muszą one też mieć jakieś pomieszczenie, gdzie się ćwiczą. Pamiętajmy o całej armji specjalnej policji, stróży, zamiataczy, pomywaczy, utrzymujących to miasto w porządku i czystości. Cały pociąg aut ciężarowych do przewozu rekwizytów i dekoracji w wypadkach, gdy trzeba robić zdjęcia na jakimś specjalnym tle.

Ameryka jest tak wielka, że posiada wszelkiego rodzaju krajobrazy. Czasem więc długi wąż samochodów, autobusów z aktorami i statystami ciągnie do jakiejś miejscowości w lesistych górach, dajmy nato. Rozbija się obóz, ustawia namioty, buduje stare zamczysko z przywiezionych materiałów, montuje stację elektryczną i, kręcą film, choćby z historii szkockiej. Czasem jedzie cała karawana w piaszczystą pustynię, gdzie znów zakłada się w piachu twierdzę arabską, czy murzyńską. Otóż pomyślmy, ile aut potrzeba, by tę całą armję przewieźć z potrzebnymi dekoracjami i strojami, a też pożywieniem?! Jest to skala i rozmiar przedsiębiorstwa wprost nie do ogarnięcia przez umysł europejczyka. Ale też tak wielkich wytwórni Ameryka nawet posiada zaledwie kilka.

Wróćmy do samej wytwórni. Prócz aut trzeba też i koni, czasem tresowanych zwierząt, łodzi motorowych, aeroplanów. Wytwórnia ma własną odnogę kolejową. Nad scenarjuszem pracuje cały sztab autorów, powieściopisarzy, humorystów. Jest specjalny fach ludzi, obmyślających, na przykład, zabawne kawały do filmów komicznych. Konkurencyjna praca nad wymyśleniem śmiesznych sytuacji, typów, ruchów, wypadków, okoliczności. Niezliczone maszynistki przepisują scenariusze, opisy ról, wskazówki, uwagi. Jest to morze pracy.

A operatorzy! Ogromne ciemnie, gdzie się wywołuje filmy, wykonywują próbne wyświetlenia. Później montowanie filmu, układanie napisów, wreszcie pakowanie setek i setek egzemplarzy i rozsyłanie ich po całym, dosłownie, świecie. Znów sznury aut wiozą skrzynki do kolei, lub ładuje się je od razu do wagonów.

Nad wszystkim panują genialne głowy dyrektorów, pilnujących, by cała machina składnie pracowała, by wielotysięczny kolos sprawnie wykonywał swe

zadanie. Daje się wiele, ale się i wiele wymaga. Miljony, nawet miliardy dolarów przepływają przez ręce tych panów Królów filmu.

Oczywiście, że podany przezemnie opis szkicowy rysuje jedną z największych w świecie wytwórni kalifornijskich; inne są mniejsze, ale nie wiem, czy w Europie jest choć jedna o podobnym rozmachu? Ale Niemcy dążą do tego z całych sił.

Gdybyśmy w Polsce mogli coś podobnego stworzyć! Iluby bezrobotnych znalazło zajęcie, i ileby się zrobiło dla propagandy Polski w świecie, tak wielkim, a tak mało o nas wiedzącym?!
Zygmunt Knothé.



ROLA SZTUKI W ŻYCIU

II.

W pierwszej części mego artykułu starałam się podkreślić myśl, że pierwiastki sztuki i jej źródło tkwią w naszej naturze i opierają się na przyjemności, sprawianej przez różne dźwięki, kolory, formy, pojęcia i t. d., oraz ich zestawienia według pewnego porządku, zwanego rytmem. Zdaje mi się, że, określiwszy w ten sposób sztukę i znalazłszy jej pierwiastki w sobie, łatwo jest zrozumieć rolę, jakie w jej powstawaniu przypadają artystom i publiczności. W życiu często przeciwstawia się silnie artystów — twórców sztuki — publiczności, mającej być, niejako, konsumentem ich utworów. Przeciwwstawienie to, które w XIX w., dzięki specjalnym warunkom, doszło do absurdu, narzuca się i dziś dość jaskrawo naszym umysłom, przywykłym do podziału pracy we wszystkich dziedzinach życia. Boy określił je dowcipnym aforyzmem, w którym twierdzi, że „szewc robi dziś poecie buty, a poeta odczuwa za niego piękno natury“. Jest w tem niezawodnie wiele prawdy: — publiczność i artyści tworzą rzeczywiście w wielkim stopniu dwie różne grupy, stanowią bardzo często obozy o rozbieżnych celach, nierozumiejące siebie a nawet zwalczające się; uważam jednak, że różnice między nimi nie są istotne, że przecenianie tej przeciwstawności i naumyślne podtrzymywanie jej działałoby niszcząco na siły twórcze społeczeństwa, hamującą na pracę artystów, i nie pozwoliłoby nigdy ogółowi osiągnąć tej pełni zadowolenia i szczęścia, jaką — dzięki sztuce — mieć może.

Podziału pracy nie można wyobrazić sobie w sztuce w ten sposób, w jaki odbywa się on w życiu ekonomicznym: tam jest on nieustanną wymianą usług i przedmiotów. W zakresie artystycznym wymiana przerzuca się przedewszystkiem w sferę idealną, w sferę wrażeń, uczuć, pojęć. Następnie — w dziedzinie zjawisk artystycznych — praca artysty i publiczności może być w wysokim stopniu nie czemś wymiennym, ale czemś współdziałającym, współtwórczym.

Otoczenie może działać podniecająco na pracę twórcy, może mu nasuwać całe garście pomysłów i zadań — a samo odczuwać ogromną radość z tego, co artysta stwarza.

Ażeby tak się stało, musi społeczeństwo być nie biernym odbiorcą wrażeń, ale ich czynnym współtwórcą.

Być może, że to, co napisałam wyżej, wyda się mętne i niejasne; postaram się zatem na przykładzie określić bliżej myśl moją.

Wyobraźmy sobie, np., że minęły wreszcie ciężkie warunki ekonomiczne, w których żyjemy, — i że rozpoczyna się duży ruch budowlany. Zaczynają budować wszyscy: ludzie prywatni, spółki, kooperatywy, gminy — jednym słowem — wszyscy. Każdy marzy o domku, czy mieszkaniu dla siebie, — każdy pragnie mieszkania „z komfortem“, wygodnego i przytulnego. Ileż pracy i pola do popisu — nietylko dla murarzy, cieśli i szklarzy — ale i dla najrozmaitszego autamentu artystów! Dla architektów, którzy wypracują plany mieszkań miejskich i wiejskich, zastosowanych do potrzeb nowoczesnego życia, z rozkładem i urządzeniem, odpowiedniemi dla ludzi różnych zawodów i typów.

Dla ceramików, którzy zaprojektują serwisy, wazony, piece, kafle do łazienek, sieni i kuchni. Dla malarzy dekoracyjnych, zdobiących ściany tych mieszkań, — dla całej plejady „zdobników“¹⁾ — którzy będą projektować, a czasem i kierować wykonaniem mebli, dywanów i kilimów, haftów na firanki, narzutki i kapy, — którzy stworzą całe wnętrza, dbając o to, by mieszkanie nie było magazynem różnego rodzaju mebli i ozdób, ale całością, praktyczną, wygodną i wykwintną zarazem.

Praca piękna, duża, — twórcza i wesoła. Praca, wykonywana przez ludzi, którzy poświęcili talent, życie i długoletnie studja sztuce i chcieliby się nią dzielić ze wszystkimi.

Jakież będzie stosunek budującego społeczeństwa do nich? Czy skorzysta ono z ich pracy? Czy przejdzie koło nich obojętnie i wprowadzi w swe nowe siedziby chaos nieprzemyślanych rzeczy, które będą zadawać kłam opowiadaniom o pełnej i wysokiej kulturze społeczeństwa?

Czy — nie mogąc się zgodzić w zapatrywaniach z projektantami — ograniczy się społeczeństwo do wzruszenia ramionami i nie postara się o sprecyzowanie samodzielne tych ideałów, które mu mogą zapewnić jasną, a wesołą atmosferę domową? Czy też, wreszcie — dla braku tych ideałów — zniszczy piękną całość, stworzoną przez projektanta?

Jak wypadnie odpowiedź na te pytania — nie wiem; zapewne tak niejednolicie, jak niejednolitym jest poziom kulturalny społeczeństwa. Wypadnie tem lepiej, im mniej społeczeństwo będzie się uważało za biernego odbiorcę spółek budowlanych, przedsiębiorców, fabrykantów itp. — im jaśniej i silniej sprecyzuje swe potrzeby i pragnienia, im częściej zechce swe potrzeby rozważać pod kątem sztuki — podsuwając tem samem artystom nowe pomysły i nowe zadania do rozwiązania.

Przykład, jaki przytoczyłam z zakresu najbliższego nam, najżywotniejszego, nie jest wcale odosobnionym przykładem; możnaby je mnożyć i przytaczać całe ich szeregi z innych dziedzin sztuki, np. z muzyki, malarstwa olejnego, lub rzeźby. Tutaj atmosfera społeczna, stopień nietylko zainteresowania się, ale i poważnej pracy ogółu w kierunku artystycznym, działa podniecająco na twórczość artystów. Jest rzeczą ogólnie znaną — że największą ilość wybitnych kompo-

¹⁾ Niemcy mają dla adeptów sztuki zdobniczej ogólną nazwę „Kunstgewerbler“ — u nas niema dla nich specjalnego oznaczenia językowego, i słowo rzucam na chybił-trafił.

zytorów muzycznych stanowią Włosi, Niemcy i Żydzi. Czyżby przypadkowo największa ilość talentów wykwitła u tych trzech narodów, różnych i obcych sobie rasą i temperamentem? Myślę, że nie jest to przypadkiem, i że wszyscy ci mistrze, których utwory podziwia świat cały, wyrosli tylko dlatego, że mieli za sobą mniejszych kompozytorów, a za nimi szeregi poważnie pracujących amatorów, znawców, wykonawców i publiczność, dobrze się orjentująca i silnie odczuwającą daną sztuką. Charakterystycznym rysem jest fakt, że w Niemczech nie jest rzadkością organista-kompozytor ze skończonym konserwatorjum, — że niemiecką jest rodzina Bachów, licząca 50 muzyków, że człowiek tak wybitny, jak Verdi, był również organistą (przez 3 lata—wczasie gdy już komponował opery) w małym prowincjonalnym miasteczku, liczącym 8000 mieszkańców. Znaną jest rzeczą, że konkursy śpiewackie w Neapolu są uroczystością narodową, w której biorą udział warstwy najniższe i najbiedniejsze, — że w Niemczech każda gmina niemal ma swój „Gesangverein“, a kółka akademickie bywają często zespołami, traktującymi śpiew bardzo poważnie. Ludzie, którzy mieli sposobność bywać we Włoszech przed wojną, muszą pamiętać te wspaniałe orkiestry, grywające na publicznych placach Wenecji, Medjolanu, Rzymu, Neapolu i innych miast, i skupione twarze andrusów, kobiet z ludu i robotników podczas ich produkcji. O jakże smętnie myślę o tem podczas polskich obchodów, gdy co druga orkiestra niemiłosiernie fałszuje, lub podczas krakowskich procesyj Bożego Ciała, gdy uszy wędną od strasznej kakofonji, tworzonej przez śpiewający „naród“!

Możnaby tak samo przejść nietylko muzykę kościelną, ale wszystkie jej świeckie odmiany,—możnaby przejść malarstwo, rzeźbę, teatr i t. d. i możnaby dojrzeć, że intensywna praca umysłowa i fizyczna, wiedza i praca naukowa, zdobycze techniczne i organizacje ekonomiczne, walki o zmiany stosunków społecznych i o wywalczenie charakterów—nie wykluczają sztuki, mającej być jakoby dobrą zabawką na chwile wywczasów, — ale, że rolą sztuki jest raczej odzwierciedlenie tych wszystkich wysiłków ludzkich. Przyjemnością i odpoczynkiem powinna być właśnie możliwość wyładowania idei, przepelniających ludzkie mózgi w literaturze, muzyce, sztuce stosowanej, rzeźbie, architekturze, malarstwie—za pośrednictwem artystów i genjuszów, ale też przy współwórczym udziale całego społeczeństwa.

Marja Zawadzka.



KABACZKI

Jest to nazwa dla wielu czytelniczek niezrozu miała i nic nie mówiąca, ale jakże miła dla pań z Kresów, z Podola! Jak często swym śpiewnym głosem zapytywały ze zdziwieniem: To wy nie znacie kabaczków? — a to takie dobre!

Cóż to są owe Kabaczki?

Kabaczki w Królestwie są mało znane, pomimo, że jest to jarzyna bardzo smaczna, a hodowla jej nie-

zmiernie łatwa. Sadzi się ją jak zwykłą dynię, po dwa ziarnka w dołek, na 2 do 3 cm. głęboko, w odstępach co 150 cm. Praktyczniej jest sadzić rośliny na zagonach jak ogórki, jedną linią po środku, a brzegi obsadzać sałatą, lub kalarepą.

Kabaczki ukraińskie nie rozrastają się bardzo szeroko: jeden krzak pokrywa około 2 m. kw., i tworzy ładną kopułę z liści, pomiędzy którymi są ukryte owoce.

Gdyby owoców nie zrywać, to utworzyłyby one grupę małych dyni, ułożonych jedna na drugiej, w ilości do 40 sztuk. Takie wyniki otrzymuje się z nasion oryginalnych, ukraińskich. Nabywane w Kongresówce, wydają rośliny zwykle o obfitych, długich pędach, owocach większych, lecz mniej licznych, np. 10 do 15 sztuk. Może objaw ten dałby się przypisać cieplejszemu klimatowi Ukrainy, wskutek czego nasiona tam lepiej dosychają, niż u nas. A wiadomo, że zarówno nasiona ogórków, jak i dyni,—świeże,—wydają rośliny, odznaczające się silniejszym wzrostem i mniejszą płodnością, niż rośliny, pochodzące z nasion paroletnich.

Wartoby więc spróbować, czy drogą wysuszenia nasion kabaczek w miejscu ciepłym i suchym nie udałoby się nadać wyrastającym z nich roślinom cech takich samych, jakie charakteryzują rośliny pochodzenia kresowego.

Jak przygotowywać kabaczki do spożycia, najlepiej pewno napisałaby Szanowna Koleżanka z „Bluszczu“, Pani Elżbieta, która sama na Kresach zamieszkiwała. Ja znam tylko takie sposoby:

Owoce należy zdejmować, gdy osiągną długość 15 do 20 cm. i gdy resztki kwiatu na nich zaschną. Po zerwaniu z krzaka należy kabaczki obmyć w wodzie, wydrążyć, wypełnić surowym siekanem mięsem, ułożyć w rondlu i gotować pod przykryciem. Gdy są już miękkie, podaje się je na stół wraz z sosem buljonowym, który się wytworzył przy gotowaniu.

Inny sposób polega na tem, że owoce wydrążone wypełnia się ryżem ugotowanym, wymieszanym z surową siekaną baraniną, i znowu gotuje pod przykryciem. Do tak przyrządzonych kabaczek najlepiej nadaje się sos pomidorowy.

Stan. Schönfeld.

OD POŁOWY CZERWCA ZACZAŁ WYCHODZIĆ BOGATO
ILUSTROWANY MIESIĘCZNIK P. T.

„MODNE ROBOTY KOBIECE“

Każdy zeszyt stanowić będzie oddzielną całość i da sposoby wykonania najnowszych rodzaj robót kobiecych, oraz wzory naturalnej wielkości.

TRZY PIERWSZE ZESZYTY PRZYNIOSĄ:

„NAJNOWSZE SPOSOBY OZDABIANIA SUKIIEN“— aplikacja, haft, liworyzacja.

„NAJMODNIEJSZE SZALE“ szydełkowe i na widełkach.

ARTYSTYCZNE TKACTWO BEZ WARSZTATU.

Cena zeszytu 2 Zł.

Adres Redakcji — Krakowskie Przedmieście 99.

Adres Administracji — Górnośląska 19.

WITAMINY

Do niedawna nieznane ogółowi wiadomości o witaminach, zmieniły podstawowo zasady odżywiania. Słyszymy i czytamy o nich ciągle, ale mało kto wie jeszcze, co to są naprawdę witaminy i w czym się znajdują. Aż do ich odkrycia, stosowano pokarmy podług ilości, jakości, kaloryj. Dziś mówi się tylko o witaminach, bez których niema rozwoju w dzieciństwie, pełnego zdrowia u dorosłych, żywotności u starców. Pierwsze spostrzeżenia, które doprowadziły do szeregu doświadczeń, robionych w tym kierunku nie są zbyt dawne, bo datują zaledwie od roku 1897. Przeprowadzając pewne badania, zauważono, że gołębie, żywione tylko ryżem tłuczonym bez skórek, prędko zdychają, kiedy, przeciwnie, karmione ziarnami ryżu w skórkach, długo żyją i doskonale się rozwijają.

Wszczęto obserwacje na innych zwierzętach i innych pokarmach—skutek wypadł zawsze identyczny, z czego wyciągnięto wniosek, że powłoka ziarna, tak jak innych produktów, zawiera substancje, dla życia niezbędne. Te substancje nazwano witaminami.

Nie będziemy tutaj mówili o różnych odmianach witamin, tymczasem wystarczy nam wiadomość, że witaminy wyrabiane są przez pewien rodzaj ziemnych bakteryj. Rośliny przyswajają je sobie z ziemi, zwierzęta trawożerne znajdują je w roślinach, a ludzie biorą je z mięsa zwierząt, z ziarna zbóż, z jarzyn i owoców, które spożywają. Witaminy niezbędne są dla życia, działają w minimalnych dawkach, a giną w gorącu, co jest przyczyną, że gotowane potrawy ubogie są w witaminy. Przy dietach zalecanych chorym, przez lekarzy, witaminy mają pierwszorzędne znaczenie.

Wieluż ludzi cierpiących na złe trawienie, na katary kiszek i żołądka, skazanych na odżywianie się mącznymi i roślinnymi wygotowanymi potrawami, niknie wskutek braku odżywczych witamin, wielu chorych pokrzywdzonych jest przez starą teorię obieranych jarzyn i wygotowanego mięsa! Nauka o witaminach, wskazuje nam, jak ważnym jest zastosowanie w dawkach odżywczych pewnych pokarmów, których używanie do niedawna uważało się za niedopuszczalne, wszelkie bowiem chorobotwórcze bakterje umieszczano na zewnętrznych powłokach produktów.

Trafiali się niekiedy lekarze, którzy hołdowali—może bezwiednie—dzisiejszym teorjom, czego dowodem pewien stary prowincjonalny lekarz, zalecający pacjentom zjedzenie przy każdym posiłku surowego, koniecznie nieobieranego jabłka. Nie zdając sobie sprawy nawet, a opierając się na obserwacji i doświadczeniu, służył sprawie witamin. W niezbyt odległej przeszłości oczyszczano i wygotowywano pożywienie do ostatecznego stopnia, dziecku ssącemu, sztucznie karmionemu, podawano tylko mleko sterylizowane, skąpo uposażone w witaminy, czego skutkiem często występująca u tak odżywianych dzieci, angielska choroba.

Człowiekowi w każdym wieku potrzebne jest odżywianie pokarmami świeżymi, żywymi, że tak powiem. Stąd pożytek ze świeżych owoców, sałat, niektórych jarzyn, spożywanych na surowo. Jabłka, gruszki nie obierane, a tylko obtarte, pomarańcze, miód, jajka surowe, mleko niegotowane,—bogate są w witaminy. Trzeba je mieć na uwadze przy układaniu codziennych jadłospisów.

J. S.

DROBNE OSZCZĘDNOŚCI
W GOSPODARSTWIE
DOMOWEM

Każdej gospodyni wiadomo, że w gospodarstwie można robić drobne oszczędności, trzeba tylko trochę dobrych chęci. Nasze służące nie chcą i nie potrafią oszczędzać,—sama gospodyni musi o to dbać. Różne drobiazgi, nie mające napozór większego znaczenia, można zużytkować w domu. Jako przykład, wskazać można stare gazety: Stół kuchenny, wyłożony niemi przed przygotowaniem potraw, zaoszczędzi nam dużo roboty, bo należy tylko zdjąć gazety, a pozostanie czysta powierzchnia stołu. Ilustrowane stare pisma są specjalnie użyteczne, bo znoszą wilgoć i nie przemakają prędko.

Dobrze jest też obierać owoce i jarzyny na gazetach, zamiast rzucać skórki do miski; niepotrzeba wtedy myć naczyń, należy tylko spalić gazety z obierzynami pod blachą. Można unikać mycia kubła od śmieci przez codzienne wykładanie go grubą warstwą gazet.

Gdy kubel napęlni się śmieciami, należy wyjąć gazety i spalić je, lub wynieść wraz ze śmieciami do śmietnika, a kubel zostaje czysty i nie posiada wstrętnej woni.

Ceratowe fartuchy zaoszczędzają w kuchni suknie gospodyń i chronią je od plam. Kiedy fartuchy się zbrudzą, można je wytrzeć mokrym gałgankiem. Robi się je z prostego kawałka z tasiemką naokoło szyi i dwoma na biodrach, przyczem te ostatnie powinny się zawiązywać z tyłu. Stare ceraty, które się przetarły na rogach, mogą być użyte na ten cel.

Można też zakładać kawałki ceraty na rękawy, ażeby uchronić je od poplamienia. Rękawy te muszą być przytrzymywane naokoło ręki gumą.

Często nowe ceraty niszczą się na rogach stołu, trzeba zapobiec temu odrazu. Należy po lewej stronie ceraty, poprzyćlepić kawałki grubego płótna na czterech rogach. W ten sposób uchronimy ceratę od zniszczenia.

Oszczędzanie krzesel. Jeżeli dziecko jest już za duże, żeby siedzieć na krześle wysokim, a jeszcze zbyt małe do normalnego i nogami nie sięga do ziemi, wtedy zaczyna trzymać nogi na poprzeczkach i niszczy je. Chcąc dzieciom dać wygodną i zdrową pozycję przy stole, trzeba im dać odpowiedniej wysokości stołeczki pod nogi. Można go łatwo zrobić z różnej wielkości skrzynek, pokrytych ciemnym linoleum. Należy uważać, by stołek ten nie był zbyt wysoki, gdyż dziecko nie mogłoby siedzieć wygodnie i dotykałoby stołu kolanami.

Oszczędności w noszeniu pończoch. Sprawiając dzieciom pończochy, trzeba zawsze kupować dwie jednakowe pary. W noszeniu jedna pończocha więcej się niszczy od drugiej i wtedy można nosić mniej zniszczone razem, a zniszczone odrzucić.

Szczotki do zamiatania można dłużej używać, jeśli je się od czasu do czasu zanurzy w wodzie mydlanej, a następnie otrzepie z wody i powiesi, żeby wyschły. Szczotki należy zawsze stawiać włosiem do góry, żeby się nie niszczyły.

Sweatry przed praniem trzeba zabezpieczyć od wyciągania, wszywając 5-cio centymetrową tasiemkę do kołnierza i wzdłuż szwów na ramionach. I. Cha...

PODWIECZOREK

Specjalnie letni posiłek, konieczny wobec wzmożonego ruchu usilnym i przebywaniem na powietrzu, apetytu; tem milszy, że bywa spożywany w ogrodzie, w cieniu drzew i składa się z przysmaków, nieznanych w innych roku porach.

Przeważnie składają się nań: mleczywo, pieczywo domowe i owoce.

Doskonałem urozmaiceniem takiego podwieczorku jest kawa i czekolada zimna. Zimna, nie mrożona. Kawa, lub czekolada mrożona jest już rodzajem lodów, wymaga dużo zachodu i pracy, dużej ilości żółtek i kremowej śmietanki, nie zawsze łatwego do zdobycia na letniskach lodu, maszyny do zamrażania, soli i t. p. Zimna kawa, lub czekolada jest dużo tańsza i łatwiejsza do przyrządzenia. Więc gotuje się zwykłą kawę, taką, jaką zawsze używamy na białe, miesza z odpowiednią ilością gotowanego mleka, lub śmietanki, ocukrza nieco mocniej, niż do picia na gorąco, i wynosi na godzin kilka do piwnicy, aby dobrze ostygła. Taka zimna kawa w upalne dnie letnie wybornie smakuje. Tak samo studzi się w piwnicy, przez jakich godzin sześć, ugotowaną na mleku i zaprawioną żółtkami czekoladę, lub nawet kakao, (do tego ostatniego należy, gotując, dodać kawałek wanilii dla zapachu). Uważać tylko, aby zawsze takie napoje nieco mocniej osłodzić, gdyż zimne więcej słodczy wymagają. Tam, gdzie niema owoców z własnego ogrodu i nie codziennie można takowe kupić, a wiemy, jak niektóre owoce, np. truskawki, maliny, poziomki, nawet przez jedną noc w ciepłe stojąc, fermentują i pleśnieją, wybornym sposobem przechowania, jest przesypanie ich rzędami cukrem. Pozostawione przez dwadzieścia cztery, a nawet czterdzieści osiem godzin na chłodzie, są nawet smaczniejsze od świeżo zebranych i bardziej orzeźwiający.

Jeżeli mamy do rozporządzenia kilka gatunków owoców, co zwykle w lipcu bywa, możemy z nich zrobić na podwieczorek „macédoine“, układając w jakimś ładnym kryształowym naczyniu, (może być i duże, szeroki słoć, który przed podaniem owijamy z ręcznicą serwetą), rzędami najprzeróżniejsze gatunki owoców, co kilka rzędów kładąc warstwę w kostkę pokrajanego dojrzałego i aromatycznego melona. Każdy rząd przesypuje się cukrem. W braku melona zalewamy taki kompot paru kieliszkami „marasquina“ lub „abricotiny“. Taki „macédoine“, może stać na lodzie dni kilka i być podany na najbardziej wytwornym, proszonym podwieczorku. Wiele osób nie jada porzeczek, jako nadto kwaśnych, otóż możemy ich kwas złagodzić, przyrządzając je w sposób następujący: najbujniejsze gałązki porzeczek zamoczyć leciutko w białku jajka, dać im osiąknąć na sicie, i zaledwie wilgotne, utarzać w pudrze cukrowym, potem dać nieco obeschnąć na powietrzu.

W taki sposób przyrządzone, są wyborne, stać jednak długo nie mogą; należy je przyrządzić zrana, na popołudnie dnia tego samego. Inny sposób, to wsypać porzeczeki w szklaneczki, na nie drugie tyleż cukru, ugniść dobrze łyżeczką porzeczeki z cukrem, dodać do pełna drobno tłuczonego lodu i natychmiast podawać. Wszelkie owoce drobne: poziomki, maliny, czereśnie i wiśnie, truskawki i porzeczeki są też wyborne, zastudzone w lekkiej galaretkie, na któ-

ra używamy mniej okazałe, lub nieco pogniecione egzemplarze; jeden tylko agrest, który zjadamy bez skórek, nie nadaje się do takiego przyrządzenia. I jeszcze o jednym napoju orzeźwiający chciałabym coś powiedzieć, jest to kwas owocowy. W Rosji wypijano go w olbrzymiej ilości, u nas prawie jest nieznany. Bardzo tani i bardzo łatwy do przyrządzenia, dużo zdrowszy od wypijanego masami w czasie upałów piwa, daje się przyrządzić z każdego prawie gatunku owoców. W miarę dojrzewania różnych gatunków owoców, będą podawała przepisy dokładne sporządzania takich kwasów. Zasada, jednak, zawsze jest jedna i ta sama. Z danego owocu przyrządzamy esencjonalną, niezbyt słodką limonjadę, dodajemy na dziesięć butelek jedno deka dobrych drożdży.

Zlewamy do mocnych butelek, wkładając do każdej dwa rodzenki sultańskie, korkujemy mocno, odrutowujemy, lub obwiązujemy szpagatem korek, trzymamy dobę w temperaturze pokojowej, potem wynosimy do piwnicy, lub lodowni. Taki kwas jest wybornym napojem do podwieczorków solidnych, składających się z zimnych mięsów, gorących racuchów, lub innych posilnych pokarmów, podwieczorków, o jakie często woła młodzież po dalekich wycieczkach, męczących sportach i t. p.

Podając wyżej rozmaite lekkie przysmaki, miałam na myśli tylko podwieczorki dla osób, chcących miłe wywczasy letnie dopełnić uciechami gastronomicznymi, — ani zimna czekolada, ani „macédoine“ z najwykwintniejszych owoców nie potrafi zaspokoić apetytu dorastającego chłopca, lub nawet dziewczynki po wiosłowaniu, konnej jeździe, tennisie, lub football'u.

Dla tej dorastającej i rosnącej młodzieży należy obmyślić inne podwieczorkowe przepisy, o których w niedalekiej przyszłości napiszę. Te, solidniejsze podwieczorki, będą się nadawały do dłuższych wycieczek, grzybobrań, zaczynających i u nas wchodzić w modę „campingh“, (koczowanie). Jak dalece taki „campingh“ jest we zwyczaju w Ameryce, do wodom tego służy, że amerykańskie książki kucharskie mają specjalny dział dań dla „koczowników“, dań nietylko zimnych i już gotowych, lecz nawet takich, co przy rozłożonym ognisku przygotować się dadzą. Pomówię o nich kiedyś.

Pani Elżbieta.





NOGI WIEPRZOWE FASZEROWANE

Gotując zwykłą galaretę z nóg wieprzowych, użyć na nią obie przednie nogi całe, a zaś z tylnych, uciętych długo, bo aż do kolan, sciągnąć całą skórę z kopytkami, mięso z kośćmi włożyć do gotujących się nóg przednich. Pół kilo przerastałej wieprzowiny przepuścić przez maszynkę z trzema bułeczkami (warszawiankami, lub innemi, wagi 15 deka), wymoczone-
mi w wodzie, lub mleku. Kawałek ozora, lub szynki surowej pokrajać w kostkę, tak samo kawałek wędz-
zonej słoniny, dwa jaja ugotować na twardo i pokra-
jać na ćwiartki. Mięсны farsz osolić, popieprzyć, do-
dać gałki muszkatołowej, cytrynowej skórki, otartej
na tarce, i duże jajko surowe, wyrobić doskonale,
skropić farsz arakiem, niech tak parę godzin postoi.
Ze dwadzieścia pistacyj (zielonych, prawdziwych, a nie
orzesków chińskich „tugul“, u nas niesłusznie pista-
cjami zwanych), obrać z łupinek, sparzyć, zdjąć skórki.
Skórę z nóg nadziewać naprzemian farszem i dodat-
kami, uważając, aby te ostatnie wypadały zawsze
wzdłuż, a nie wpoprzek nogi, co ma duże znaczenie
przy krajaniu. Zaszyc skórę nogi dopasowanym ka-
wałkiem płótna, gotować w smaku z wody, włoszczy-
zny, cebuli i korzeni. Gotuje się od dwóch do trzech
godzin. Dać nawpół zastygnać w smaku, potem wy-
jąć, ułożyć na desce, przycisnąć drugą i ciężarkiem.
Nazajutrz pokrajać w cienkie plastry i podawać z so-
sem tatarskim, ravigotte, musztardowym, chrzanem z oc-
tem, lub wprost do octu i oliwy. Można też galaretę
z nóg, do której dodać smak z nóg, zastudzić w du-
żej formie, wyrzucić na półmisek, a wkoło obłożyć
w plastry pokrajanemi faszzerowanemi nogami, co już
razem, jeszcze ubrane wkoło sałatką, będzie stanowiło
ładny półmisek do zimnej kolacyi.

„SALTIN BRECHI“ (PRZEPIS WŁOSKI)

Ile osób, tyle przygotować cienkich, dużych, do-
brze wybitych sznycli cielęcych i tyleż równie du-
żych plastrów surowej, bardzo tłustej i przerastałej
szynki Sznycle wybić na kilka godzin przed obiadem,
gdy świeżo wybite kurczą się przy smażeniu.

Utluc w moździerzu sporą garstkę tymianku
i rozmarynu i przygotować dwa razy tyle cienkich
drewnianych patyczków, ile mamy sznycli. Przed sa-
mym obiadem każdy sznycel posypać obficie z jed-
nej strony tłuczonymi ziółkami, przykryć plastrem
szynki, utarzać w mące i usmażyć jak zwykle sznycle,
to jest: narazie rumieniąc na silnym ogniu, potem
dosmażając na wolniejszym.

Posolić dopiero po usmażeniu z jednej strony,
aby cielęcina pozostała białą. Oddzielnie ugotować
na wodzie z masłem ryż na sypko, ułożyć warstwę
takiego ryżu na półmisku, ze sznycli powyjmować pa-

tyczki i ułożyć je na ryżu. Na patelnię, na której się
smażyły sznycle, wlać kilka łyżek wody, zagotować
i połać tym sosem ryż wokoło. Podawać bardzo go-
rące. Dla osób, lubiących korzenną kuchnię, wyborny
sposób nadania smaku mdłej cielęciny.

PALUSZKI DO HERBATY

Sześć łyżek śmietany, dwie łyżki masła, trzy
całe jaja, cukru tyle, ile jaja zaważą, na koniec no-
ża soli i kilkanaście gorzkich migdałów, sparzonych,
obranech z łupinek i jaknajdrobniej utłuczonych.
Zmieszać to wszystko razem i wgnieść tyle mąki
pszennej, żeby z tego ciasta dało się formować pa-
luszki, robić bardzo długie i cienkie paluszki, (im
dłuższe, tem ładniej przy podaniu wyglądają).
Układać na blachach, posypanych lekko mąką,
posmarować rozbitem żółtkiem, (można jedno żółtko
z trzech w tym celu pozostawić), osypać grubym krysz-
tałem i upiec w niezbyt gorącym piecu. Dla zmiany,
można zamiast gorzkich migdałów użyć dla zapachu
skórki cytrynowej, lub utłuczonej wanilji, albo też,
zagniatając ciasto, wsypać weń dużą garść maku.

LEGUMINA Z NALEŚNIKÓW Z KREMEM

Dwa żółtka utrzeć ze szklanką mąki, odrobiną
soli i taką ilością wody, (to jest zależne od suchości
mąki) aby ciasto się dało cienko rozlewać po patelni,
nakoniec ubić pianę z pozostałych dwóch białek, zmie-
szać z ciastem i natychmiast upiec 8 — 10 naleśni-
ków, smarując patelnię kawałkiem świeżej słoninki.
Łyżkę przedniej mąki pszennej ugotować ze szklanką
dobrego mleka, dwa żółtka utrzeć z pół szklanką
cukru, dodać do masy mlecznej, ubijać na ogniu, aż
zgęstnieje, uważając, aby się nie zagotowała. Odsta-
wić, wlać kieliszek araku, lub rumu, sok z pół cytryny,
trochę skórki cytrynowej. Półmisek posmarować ma-
słem, kłaść jeden na drugi naleśniki, smarując każdy
ponczowym kremem. Ostatni powinien być naleśnik,
posypać go cukrem, położyć parę kawałeczków ma-
sła i wstawić na 10 minut do pieca, na górną kondy-
gnację, aby się legumina lekko przyrumieniła.

SER GOTOWANY

Kilo dobrze odcisniętego twarogu, lub zwykłego
krowiego sera rozgnieść dobrze drewnianą łyżką, wło-
żyć do salaterki, lub wazy, przykryć szczelną pokrywą
i postawić w pokojowej temperaturze. Codziennie
przemieszać łyżką, aby ser równo starzał. Gdy cały
zżółknie i mięknać zacznie, włożyć go w rondel, dodać
spora garść kminku, soli do smaku i łyżkę masła,
lub trzy łyżki śmietany. Postawić na wolnym ogniu
i gotować, wciąż miészając łyżką, aż masa się zrobi
zupełnie jednolita i płynna. Przełać do dwóch form
porcelanowych, lub głębokich salaterek, wysmarowa-
nych masłem, dać zastygnać. Dostyc trudno utrafić
należyta gęstość masy, nie zawsze więc ten ser chce
wyjść z formy; zawsze jednak jest to smaczny, ostry
ser, — bardzo przytem tani i łatwy do zrobienia na-
wet na gazie, lub maszynce naftowej.

CIASTKA DO HERBATY W RODZAJU „ALBERTÓW“

Ciastka te, rozmoczone w herbacie, lub mleku można dawać małym dzieciom, które je chętnie jedzą, — są one bardzo strawne i pożywne. 20 deka mąki, 15 deka cukru, 8 deka masła, dwa jaja całe, 1 deka amonjaku w kryształach, wymieszać z całą szklanką gorącego mleka, wymieszać doskonale, wyrabiać na misce, aż zupełnie ostygnie, zostawić tak przykryte na noc całą. Następnego dnia dodać jeszcze dwadzieścia deka mąki, wyrobić dobrze, rozwałkować bardzo cienko, wyciskać szklanką małe placki, nakłuć widelcem, układać na posypanej mąką blasze i piec w wolnym piecu, aby przy pieczeniu wyschły, a nie zarumieniły się wcale.

KRĘGIELKI DO HERBATY

Litr mąki, dwa deka drożdży, dwa jaja całe, łyżka masła, pół szklanki cukru, łyżeczka soli i tyle letniego mleka, aby ciasto można było zagnieść i doskonale wyrobić. Gdy od rąk zupełnie odstanie, robić cienkie wałeczki, związać ładne, równe kręgielki, ułożyć na blasze, wysypanej mąką, postawić w ciepłe, aby nieco podrosły. Posmarować rozbitym jajem, osypać makiem, lub siekanymi słodkimi migdałami, zmieszanimi z cukrem, i upiec w średnio gorącym piecu. Kto chce mieć te same kręgielki słone, niech nie kładzie cukru do ciasta, a po wyrośnięciu i posmarowania żółtkiem posypie je kminkiem, zmieszanim z grubą solą. Są bardzo smaczne i doskonałe do świeżego masła.

Pani Elżbieta

DO NASZYCH CZYTELNICZEK

Podajemy do wiadomości ogółu naszych czytelniczek, że prenumeratorki „Bluszczu“ będą mogły korzystać nie tylko z porad kosmetycznych, lecz na dolegliwości natury kosmetycznej będą mogły otrzymywać środki kosmetyczne, które będziemy wysyłać pocztą na zamówienie za zaliczeniem pocztowym. Zamówienia prosimy kierować pod adresem: Warszawa, ul. Krucza 31, m. 3, według poniższego wycenienia:

Kosmetyki Dr. J. Świtalskiej:

„Mój Krem“	6 zł.
„Mój Puder higieniczny“ we wszystkich odcieniach	4 zł. 50 gr
Galaretka na Łojotok Nr. 1, Nr. 2, Nr. 3	5 „
Krem po goleniu	5 „
Krem na łupież	5 „
Krem na piegi	6 „
Szampon higieniczny	2 „
Płyn do wzmocnienia włosów	6 „
Mydło liljowe	3 „ 50 gr.
Perełki do kąpieli przemiennych	5 „
Perełki do pielęgnacji biustu	5 „
Krem do rąk	3 „
Pomada do włosów dla dorosłych i dzieci	5 „

Prenumeratorki „Bluszczu“, które pragną otrzymać środki kosmetyczne, powinny przysyłać w swych listach następujące szczegóły: stan zdrowia ogólny i przebyte cierpienia, obecne dolegliwości. Co do włosów: 1) czy włosy są tłuste, 2) czy jest łupież, 3) czy były leczone, i z jakim skutkiem, 4) czy są myte, 5) jak często, 6) czy włosy rozdwiają się na końcach? Ponadto subiektywne uczucie pieczenia, śwędzenia i t. d. Co do cery: czy jest tłusta, sucha, czy wrażliwa na mydło i wodę, jaka woda jest używana do mycia, czy są krosty, pory, wągry, liszaje i plamy.

KORESPONDENCJE

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Do Sz. Czytelniczek „Bluszczu“. Uprasza się Sz. Prenumeratorki o podawanie dokładnych adresów przy zasięgnięciu porad. Cały szereg listów z dziedziny kosmetyki nie może być uwzględniony z powodu braku adresów, pp.: Jadwiga D., Elżbieta Z., Wanda W., Wiesniaczka, Miriam i Czytelniczka „Bluszczu“ z Pińska.

Lila, prenumeratorka „Bluszczu“. Diatermia nie jest to żadna maść, ani płyn, tylko zabieg światłolecznicy do niszczenia włosów, nabyć go więc nie można.

Janina i Es. Es. Żadne aparaty, zwiężające kształt nosa, nie dają u dorosłego człowieka rezultatu poszczuplającego, jedynie zabieg operacyjny daje niekiedy dobre wyniki.

Czasami odpowiedni masaż, umiejętnie i cierpliwie stosowany, może dać pewną poprawę.

Przedewszystkiem zbytnio się nie przejmować tą myślą, nie dręczyć niepotrzebnie, gdyż młodość i zdrowie — to najważniejsze atuty w życiu.

Marja Sk. Dobra książka jest niezbędnie potrzebną każdej rozumnej kobiecie. Polecam „Higjenę Kobiety“ — Dr. J. Śmiarowskiej, traktującą bardzo szczegółowo o zachowaniu się w czasie ciąży. Dzieło to, bardzo popularne, zawiera wiele cennych rad i wskazówek, niezbędnych w tym okresie; prócz tego znajdzie każda czytelniczka dużo poufnych wskazówek natury moralnej, gdyż autorka jest wielką znawczynią nie tylko ciała, ale i duszy kobiecej.

M. Stoilcz... Żadne na świecie pigułki cudów nie robią. Szczerze Pani współczuję i radabym Jej pomoc; niestety, to tylko od Pani samej zależeć będzie, by osiągnąć poprawę zdrowia. Najlepszym środkiem może być zmiana warunków bytu, otoczenia, gdyż to odrywa znękaną umysł od codziennych, dręczących trosk i otwiera nowe horyzonty życia. Ponadto racjonalne leczenie: a więc gimnastyka, przebywanie na świeżym powietrzu, odpowiednie odżywianie i zabiegi hidroterapii. Cudów na świecie niema; proszę nie wierzyć żadnym oszustom, a tylko samej sobie. Trzeba

Dr. J. ŚWITALSKA ZAWIADAMIA SWOJE PACJENTKI, IŻ W WARSZAWIE ORDYNOWAĆ BĘDZIE DO PIERWSZEGO LIPCA, — NASTĘPNIE ZAŚ WCIĄGU MIESIĄCA LIPCA PRZYJMOWAĆ BĘDZIE W GDYNI (POMORZE).

sobie powiedzieć: chcę i muszę być zdrowa! Życie jednak, pomimo wszystkiego, jest bardzo piękne.

Wielkopolance. Nie znam Poznania i, niestety, nie mogę służyć Pani żadną w tym względzie wskazówką.

Szatynce. Aby coś skutecznie doradzić, trzeba znać dokładnie rodzaj i przyczyny cierpienia, stan zdrowia ogólny, przebyte cierpienia, oraz charakter włosów: suche, czy tłuste i czym są myte. Nic tak nie szkodzi, jak żrące środki chemiczne, zawarte w szumnie reklamowanych szampionach do mycia włosów. Narażenie proszę mycie włosów ograniczyć: raz na dziesięć dni.

B. M. z Jer... Ogólna odpowiedź. Uwagi bardzo słuszne. Nigdy nie zastąpi maszyna masażu ręcznego: przy ręcznym—tłuszcze się rozgniata, przy maszynowym—przemieszcza. Stan zapalny może być pogorszony wskutek masażu maszynowego.

Ogólna odpowiedź. Irenie z Wilna, Loni, Zofji R., Janinie z Kielc, Ewelinie i Starce. Czytać ogólną odpowiedź na wyprawienie włosów, daną „Szatynce“.

Czytelniczki „Bluszczu“ prosimy o podawanie dokładnego adresu przy nadsyłaniu zapytań. Pewne odpowiedzi nie nadają się do zamieszczenia na łamach „Bluszczu“, z powodu zbyt poufnego tematu.

Przemysłance. Odpowiedź nie nadaje się do „Bluszczu“. Upławy leczyć musi po uprzednim zbadaniu ginekolog. Usunąć czerwonoci twarzy bez zbadania nie można, gdyż nie wiadomo, jaka jest przyczyna. Proszę czytać w „Bluszczu“ odpowiedź ogólną na czerwonocność nosa.

Do Sz. Czytelniczek „Bluszczu“. Cały szereg listów z dziedziny kosmetyki nie może być uwzględniony, z powodu nie podania adresów.

Miriani. Pierwszym warunkiem dobrej cery jest zdrowie, drugim—czystość, trzecim—odpowiedni tryb życia i dobre warunki życiowe, a dopiero potem postawić należy stosowanie pewnych, racjonalnych zabiegów, opartych na zasadzie kosmetyki leczniczej. Koniecznym warunkiem zdrowia jest słońce i powietrze.

Dlatego też używać należy kąpeli słonecznych i powietrznych. Stan zdrowia całego organizmu odgrywa dominującą rolę w ogólnym wyglądzie kobiety. Wszelkie stany psychiczne, okresy pokwitania, ciąży, zaburzenia płciowe, choroby kobiece, nienormalne zaspakajanie popędu płciowego,—wywierają bardzo ujemny wpływ na cerę.

Choroby przewodu pokarmowego, kataru kiszek, żołądka, zaparcie stolca, choroby nerek, wątroby, śledziony, zaburzenia gruczołowe o wewnętrznym wydzielaniu, choroby infekcyjne, ostre i chroniczne, jak np. choroby płciowe—silnie wyniszczają organizm i tem samym fatalnie odbijają się na cerze kobiety. Dbanie o zdrowie jest jednoczesnym dbaniem o ładny wygląd. Przy cierpieniach ogólnej natury, leczyć należy cały organizm; bardzo często worki pod oczyma mają za przyczynę chorobę serca, lub nerek. Na nic tu różne kremy cudowne i patentowane środki, jeśli przyczyna leży w samym organizmie.

Należy więc jaknajszybciej usunąć główną przyczynę, a dopiero potem leczyć cerę.

Bardzo ważnym czynnikiem przy pielęgnowaniu cery jest zachowanie czystości. Jeśli kobieta chce mieć piękną cerę, musi się kąpać raz na tydzień w ciepłej wodzie, a zmywać się przynajmniej raz na dzień od stóp do głów. Kobieta, która nie przestrzega czystości, kąpie się raz na parę miesięcy, obmywa codziennie tylko twarz i ręce, myje nogi raz na tydzień, nie może mieć zdrowej cery. W następnym numerze podam zabiegi toalety codziennej.

UWAGA: Kroje modeli, umieszczonych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna	zł. 3,50
suknia zwyczajna	„ 2,50
bluzka	„ 2,00
formy dzieciinne	„ 2,00
bielizna	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrusek — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczane w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych, lub przekazem.

KAŻDA DOBRA GOSPODYNI POWINNA POMYŚLEĆ O ZAPASACH ZIMOWYCH I KUPIĆ KSIĄŻECZKĘ P. T.

„Konfitury, kompoty i konserwy owocowe“

W opracowaniu p. ELŻBIETY.

CENA 1 zł. 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

JAK ZDOBYĆ I ZACHOWAĆ PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE

WSKAZÓWKI, CO ROBIĆ, ABY DO PÓŻNYCH LAT ZACHOWAĆ MŁODOŚĆ I URODĘ.

CENA 1 zł 50 gr.

Wysła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Czytelniczkom „Bluszczu“ kosztów przesyłki nie liczymy.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW

Redakcja i Administracja, Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.

